Numer Świąteczny.

Nr. 4. Kraków, kwiecień 1908. Rok IX



:: PISMO DLA KOBIET ::

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . kor. 1·50 | zagranicą . marek 1·50
półrocznie „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.

W państwie rosyjskiem:

Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 50 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

WESOŁEGO ALLELUJA!

Wesołego Alleluja...
Wam siostry wam...
Życzymy...
Myślą, sercem, choć z oddali
Ku wam dziś spieszymy,
Niby znani i nieznani
Podajemy dłoń.
Alleluja! rozjaśnijmy
Przygnębioną w smutkach skroń.

Wesołego Alleluja
wam siostry wam...
dziś ślemy...
Chociaż Prusak zgubę niesie,
Żyć jeszcze będziemy...
Tylko w czasie gromów, wichrów
Wytrwać trza...
Alleluja!... I ten ucisk
Bóg wam przetrwać da!

Alleluja wesołego
wam siostry wam
życzymy...
Z słowem dobrem i pociechą
W dzień Święta spieszymy...
Nie „wywłaszczy“ Prusak z serca
Świętych uczuć skry.
Alleluja... żyć będziemy,
Choć nas palą łzy.

Wesołego Alleluja
Wam siostry wam
Dziś ślemy...
Przy święconem, jako goście
Weseli stajemy,
Jakoś my to jeszcze razem
Pójdziem w dal
Alleluja!... Wypłyniemy
Z nieszczęść czarnych fal!

Jadwiga z Łobzowa.

MAŁY PROROK.

(Dwie legendy).

Bardzo dawno temu, żyła tak szczęśliwa matka, iż kiedy przyszło jej nieść w daleką drogę skarby ogromne, które ofiarowali w darze dziecięciu jej, trzej potężni królowie, słysząc, że ono ma być prorokiem, wolała sama nieść dziecię swoje w ramionach, a królewskie dary, złoto, purpurę i kadzidło drogocenne oddała sługom, aby za nią nieśli. Niesumienni jednak ludzie, skorzystawszy z chwili, kiedy matka i dziecię odpoczywali w śnie, umknęli w drodze, a kobieta pozostała sama z dziecięceim tylko u łona.

Kiedy się dowiedziała, co ją spotkało, zawołała uszczęśliwiona:

— Jak to dobrze! żem im najdroższego mego nie powierzyła skarbu! Wprawdzie będę musiała w pocie czoła uprawiać cudzą kamienistą rolę, ale ono pozostanie ze mną.

Jak tylko minęły czasy niepokoju, zagrażające niebezpieczeństwem dziecięciu, powróciła w strony rodzinne i zamieszkała w małym ubogim domku, który patrzał w dolinę pokrytą liliami i na śliczne błękitne w słońcu jezioro.

Zazwyczaj bywało ono spokojne i nieruchome, a tak przeźroczyste, iż zielone otaczające je wzgórza, wraz z winnicami i lilie w dolinie, przeglądały się w niem dowoli.

Ale bywały dnie, że spokojne jezioro groźnie się marszczyło, a wzburzone fale z gniewem i hukiem uderzały o brzeg opoczysty, wtedy było na jeziorze bardzo, bardzo niebezpiecznie żeglować.

Dzieci, których rodzice, w licznych małych domkach zamieszkiwali zielone stoki wzgórz, często zbiegały w dolinę bawić się nad jeziorem. Lubiły przesypywać w palcach miękki, zabarwiony piasek, który się w słońcu mienił tęczowo, lub układać z ślicznych kolorowych muszli, różnobarwne desenie, zamki i świątynie. Starsze i śmielsze puszczały się czasem małemi łódkami na wodę.

W łodzi, zwykle w pośrodku jeziora, lubiał przebywać synek owej szczęśliwej matki, o którym przepowiedziano przy urodzeniu, iż zostanie kiedyś prorokiem. Czyny dziecka, słowa jego i igraszki, były często tak niezwykłe, że go już teraz tak nazywano. Zazwyczaj zabawiał się liliami polnemi, cudne o nich w myśli snując przepowiastki, albo rozmawiał z falą, która kołysała łódź — fala znała dobrze małego proroka.

Razu jednego, kiedy wedle zwyczaju siedział sam w łodzi, zdala od brzegu i rzucał wianuszki z ulubionych sobie kwiatów polnych w jezioro, które mu fale odnosiły z powrotem zerwała się gwałtowna burza i w mgnieniu oka spiętrzne bałwany wód, otoczyły łódź. Na krzyk przerażonych dzieci, wybiegła z domu matka chłopięcia, a ujrzawszy co się dzieje, chciała biedz w wodę, na ratunek dziecku. Ale chłopiec ujrzawszy matkę, uśmiechnął się tylko do niej zdaleka i skinął ręką, by się zatrzymała u brzegu, a sam wyszedłszy z łodzi, którą natychmiast zatopiła burza, począł iść po wzburzonych falach, równo i spokojnie, jakby to była ścieżka polna z obu stron kwieciem usłana, a przyszedłszy do zdumionej matki, chcąc jej wynagrodzić troskę serdeczną, z przemileniem dziecięcem i z ślicznym uśmiechem, włożył jej na głowę wieniec swój z polnych lilij uwity, cały jeszcze w rosach od bryzgów jeziora, a uszczęśliwiona matka, tuląc chłopca w objęciach i całując z uniesieniem długie jego złote włosy, powtarzała przez łzy:

— Tyś jest wieniec wesela dni moich o dziecię! Ty sam...

* * *

Był sabat Świątek Zielonych. Na wzgórzach rozkwitały lilie i anemony, winna latorośl pięła się po skałach, a błękitne jezioro leżało dnia tego, jak wygładzona tafla czarodziejskiego zwierciadła.

Mały prorok siedział na brzegu i zabawiał się po dziecinnemu. Lepił z gliny udatne ptaszki, malował im farbą piórka i ustawiał do słońca, aby prędzej wysychały.

A zdarzyło się, że przechodził mimo faryzeusz. Był to człek bogaty i poważany, gdyż pozornie czynił wszystko, aby zyskać szacunek ludzki. Modlił się głośno i rozdawał publicznie jałmużnę, lecz w sercu znieważał Boga i przykazania jego, gdyż był wydziercą cudzego dobra, krzywdził sieroty i wdowy. Słyszał on o małym proroku i o jego dowcipnych, śmiałych odpowiedziach, jakie dawał często mężom biegłym w nauce, chciał go więc upokorzyć, przystanął i zapytał.

— Słyszałem, że znasz na pamięć Pismo. Żali nie wiesz mały proroku, że nakazano tam, abyś Sabat święcił, a ty co robisz?

Mały spojrzał z pod oka na faryzeusza, nie przerywając swojej roboty i odparł filuternie:

— Pismo mówi: Nie ustami będziesz chwalił mnię, ale sercem czystem. — Faryzeusz zatrząsł się z gniewu, ale spuścił prędko wzrok, przed dziwnie przenikliwem, rozbawionem spojrzeniem chłopca. Zdawało mu się, iż czyste jak niebo, lazurowe źrenice, przenikają go na wskróś i czytają w sercu jego przewrotnem. Odwrócił się z gniewem i chciał iść dalej, ale spostrzegłszy ptaszki tuż przy swych nogach, podniósł stopę, by je rozdeptać. Chłopiec szybkim ruchem zasłonił rękoma swoje ptaszki, ale rozzłoszczony faryzeusz nastawał, by je zniszczyć, gdyż, jak twierdził były obrazą świętego dnia sabatu. Krzyczał tak głośno i odgrażał chłopcu, iż przechodzący zatrzymywali się z ciekawością, aby posłuchać sporu możnego faryzeusza, z małym synkiem ubogiego cieśli. Chłopiec zabrawszy z ziemi swoje ptaszki, oburącz przytulał je sobie do piersi i przemawiał do nich pieszczotliwie, patrząc figlarnie na faryzeusza:

— Lećcie ptaszęta!... Lećcie sobie ptaszęta!... a nawet ujął penzlik, umaczał w farbę i domalował jednemu z nich brakujące czarne skrzydełko na grzbiecie.

Faryzensz pienił się z oburzenia, a za nim i gromadka ludzi głośno poczęła szemrać:

— Patrzcie!... ten malec ma się naprawdę za proroka. Chce, aby jego ptaszki z gliny latały.

Ale zaledwie wypowiedzieli te słowa, kiedy naraz ptaszęta zatrzepotały skrzydełkami, obróciły główki, a porwawszy się z piersi chłopca, z radosnym świegotem wzleciały pod rozpromienione niebo wiosenne. Miały to być pierwsze jaskółki, które dziecięcym rączkom Zbawiciela zawdzięczają istnienie swoje.

Odtąd co roku powracają na ziemię o porze wiosennej, wiodąc za sobą inne jaskółki, a wzlatując pod obłoki, uczą je śpiewać swoją pieśń radosną pierwszego dnia stworzenia.

A. Bandrowska.

WIOSNA.

Choć pól i łąk
Odmładzasz krąg
Roznosisz woń miłosną,
Nie wrócisz mi
Młodości dni,
O czarodziejko wiosno!

Nie wskrzesisz złud
Pojących wprzód
Zachwytem serce moje —
Nie dla mnie już
Rumieniec róż
I cudnych marzeń roje.

Więc z czary twej
Dla innych lej
Rozkoszy pełne miody;
Niech z twoich szat
Rwie cudny kwiat,
Kochanków zastęp młody

Mnie tylko daj
Szumiący gaj
Nad moją głowę senną,
I otocz mnie
W głębokim śnie
Miłością dusz promienną.

Adam Asnyk.

POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Po dwakroć na polskim tronie zasiadały dziewicze królowe: W zamierzchłych czasach Wanda, w historycznych Jadwiga. Obie przyniosły Polsce szczęście, chociaż żadna z nich, dźwigając polską koronę, nie zaznała go osobiście. Wanda, ażeby ochronić Polskę od władcy Niemca, położyła kres młodemu życiu swemu w nurtach Wisły, u ujścia Mozgawy; Jadwiga dla rozszerzenia Polski i jej potęgi, dla pozyskania chrześcijaństwu milionów nowych wyznawców, poświęciła własne szczęście, zrzekła się praw kochającego serca, składając je na ołtarzu wiary i ojczyzny.

Jadwiga, jako mała dziewczynka, zaręczoną była z nie o wiele starszym od niej księciem austryackim Wilhelmem. Wzrosła w przekonaniu, że nie czyją inną, tylko jego będzie żoną. Przywykła do tej myśli, przywiązała się do Wilhelma, a gdy ten wyrósł na pięknego i rycerskiego młodzieńca, pokochała go całą siłą szlachetnego, a gorącego serca.

Wilhelm jednak miał tę wielką wadę, iż był Niemcem i jako taki nie nadawał się na męża polskiej królowej. Naród polski, przywiązany gorąco do wolności i swobody, i ceniący je nad życie, nie ufał Niemcom, którzy byli dla niego uosobnieniem niewoli i zasady: „siła przed prawem“; to też nie życzył sobie mieć władcą Wilhelma, nie życzył tembardziej, gdy o rękę słynnej cnotami i jaśniejącej pięknością królowej, starał się wielki książę litewski Jagiełło.

Wiadomo, iż Litwa pod rządami Gedymina wzbiła się do wielkiej potęgi. Oswobodziła wschodnią Polskę naddnieprską od książąt normandzkich, zwanych ruskimi i zagarnęła ją pod swoje panowanie.

Pozyskanie Litwy dla Polski równoznacznem było z odzyskaniem tych ziem Polan naddnieprskich, a zarazem z pozbyciem się niebezpiecznego i dokuczliwego sąsiada, jakim Litwa była dla Polski. Litwini bowiem, trwający ciągle w pogaństwie, byli niespokojnym i wojowniczym narodem. Wciąż niepokoili granice Polski, napadali na Mazowsze, Wołyń i Ruś czerwoną i niszczyli te polskie kraje, zabierając w niewolę ludność, a szczególniej młode kobiety i dziewczęta. Na stałe zagrozić Polsce nie mogli, gdyż brakowało im wewnętrznej jedności, a nadto ciągłą musieli toczyć wojnę z Krzyżakami, z którymi graniczyli na znacznej przestrzeni, a którzy pod pozorem nawracania ich na wiarę chrześcijańską, dążyli do podbicia Litwy i wytępienia narodu litewskiego tak, jak wytępili pokrewny im lud pruski. Osiągnięcie tego celu przez Krzyżaków, stałoby się było ogromnem nieszczęściem dla Polski, wzbiłoby ich bowiem do takiej potęgi, iż oparcie się jej byłoby niemożliwem. Krzyżacy byli wspólnym wrogiem Polaków i Litwinów, groźnym zarówno dla pierwszych, jak i drugich; połączenie się więc z Litwą i z tego względu było nadzwyczaj pożądanem.

To też starania Jagiełły o rękę Jadwigi powszechną radość wywołały wśród narodu polskiego, a to tembardziej, gdy ten władca Litwinów obiecywał przyjąć chrzest z całym swoim narodem, złączyć go na zawsze z Polską, powrócić Polsce naddnieprskie ziemie i obdarzyć wolnością jeńców polskich, zagarniętych w litewskich napadach na Polskę.

Dla Jadwigi jednak związek małżeński z Jagiełłą był zniweczeniem wszelkich marzeń i nadziei kochającego serca; gdy zaś młodziutka królowa polska była osobą dzielną, pełną energii i przedsiębiorczości, przeto w pierwszej chwili, idąc za popędem serca, sprzeciwiła się temu związkowi, postarała się o przybycie Wilhelma i postanowiła się połączyć z nim ślubem małżeńskim, chociażby wbrew woli narodu. Wilhelm pospieszył do Krakowa i upomniał się o swoje prawa, jako narzeczony Jadwigi — lecz tu spotkał się ze stanowczym oporem kasztelana krakowskiego i innych senatorów polskich, którzy nie wpuścili go na zamek; Jadwidze zaś starali się wytłumaczyć, iż obowiązkiem jej, jako

polskiej królowej, chrześcijanki i wiernej córki Kościoła, jest oddanie ręki Jagielle, dla dobra Polski i chrześcijaństwa.

Długo wahała się królowa, ciężką przebyła walkę sama ze sobą — zwyciężyło wreszcie szlachetne uczucie zaparcia się i poświęcenia. Spotkawszy się następnie z ukochanym Wilhelmem w krużgankach klasztoru krakowskich Franciszkanów, z podziwu godnem męstwem nakłoniła go do rozstania na zawsze i zrzeczenia się jej ręki i serca.

Z ciężkich dni wahania się królowej, pozostała piękna legenda: By rozerwać smutek młodej władczyni, opowiadano jej prastare dzieje narodu. Przyszła kolej na powieść o Wandzie i jej poświęceniu. Jadwiga uważnie słuchała opowiadania, a wysłuchawszy go do końca, zalała się łzami i rzekła: Wanda, poganka, poświęciła swe życie dla dobra narodu — czyż mnie, chrześcijance, wolno być gorszą od niej?

Nie wiadomo, o ile prawdziwą jest ta legenda. Nie wiadomo także, czy przykład Wandy wpłynął na czyny Jadwigi — to pewna, że obie jaśnieją w dziejach naszych, jako wzory cnoty i poświęcenia.

Skoro Jadwiga zgodziła się na małżeństwo z Jagiełłą, spisano z nim ugodę w Wołkowyżkach na Litwie, poczem nowy narzeczony polskiej królowej, wyruszył do Krakowa, w świetnym poczecie książąt i rycerzy litewskich, jakoteż kilku braci rodzonych i brata stryjecznego Witolda.

Dnia 15 lutego 1386 r. odbył się w Krakowie chrzest Jagiełły i braci jego, przy którym Jagiełło otrzymał imię Władysław, zaś dnia 18 lutego tegoż roku ślub Jadwigi z Władysławem, a następnie, 4 marca uroczysta koronacya nowego króla. Koronacyę poprzedziło uroczyste zaprzysiężenie przez króla utrzymania wszelkich praw i swobód polskiego narodu.

Wszystkie te uroczystości, będące wstępem do ochrzczenia i przejścia na łono chrześcijaństwa całego narodu litewskiego, w pierwszym rzędzie powinny były cieszyć Krzyżaków, którzy głosili, że jedynym ich celem jest nawracanie pogan. Uzbrojonym mnichom tym jednak, nie o rozszerzenie wiary chodziło, jeno o łupy i podboje; to też zamiast się cieszyć z pokojowych zdobyczy wiary chrześcijańskiej, zapłonęli wściekłym gniewem przeciw Polsce i Władysławowi Jagielle. I jakże gniewać się nie mieli, kiedy uważali Litwę za przyszłą swoją zdobycz, za kraj, który prędzej, lub później podbiją i srodze uciskać będą, tuczyć się jego krwią i łzami; a tu Polska wydziera im tę zdobycz i bierze ją w obronę, chroniąc pod potężne skrzydło orła białego.

To też wielki mistrz krzyżacki, Zöllner, zaproszony przez grzeczność na ojca chrzestnego Jagiełły, wcale do Krakowa nie przybył, a nie mogąc na razie sam przeciw Polsce wystąpić, podburzył pokrewny Krzyżakom zakon rycerzy mieczowych, siedzący na północ od Litwy, w Inflantach, do napadu na ziemie litewskie. Jakoż w czasie godów Jadwigi i Jagiełły rycerze ci wpadli do Litwy szerząc mord i pożogę. Na wieść o tem prosto z uroczystości weselnych, pospieszyli bracia królewscy Skirgiełło i Korybut, wraz z hufcami polskimi na Litwę i pomścili łupieżcy napad w zwycięskiej bitwie nad rzeką Wiechną.

Równocześnie nowożeńcy królewscy wyruszyli w podróż po Wielkopolsce, by pozyskać stronników księcia mazowieckiego Ziemowita, którzy pragnęli widzieć go królem na tronie polskim obok Jadwigi.

Podróż ta przyniosła jak najlepsze wyniki; pod wpływem czaru cnót i wdzięków, jaki roztaczała Jadwiga, oraz prostodusznej i dobrotliwej powagi jej małżonka, Władysława Jagiełły, stopniały serca niezadowolnionych. Królewska para, objechawszy Wielkopolskę, powróciła do Małopolski i objazd swój zakończyła wiecem ziemian w Nowym Korczynie, gdzie król Władysław zatwierdził wszystkie przyrzeczenia swe, zaprzysiężone podczas koronacyi i skojarzył kilka małżeństw litewsko-polskich, wydając Jadwigę, córkę księcia

opolskiego Władysława, za brata swojego Aleksandra, oraz żeniąc książąt mazowieckich Janusza, i rywala swego Ziemowita, z litewskiemi księżniczkami. Mądrze obmyślane te małżeństwa, spokrewniły nowego króla z polskim narodem, oraz rody polskie z litewskimi i były niejako zadatkiem wspaniałego małżeństwa dziejowego Litwy z Polską, wiekopomnego zjednoczenia dwóch narodów, do niedawna wrogich sobie, a odtąd złączonych nierozdzielnie na dolę i niedolę, na szczęście i burze dziejowe.

Z Nowego Korczyna udał się Jagiełło w podróż apostolską na Litwę, by spełnić przyrzeczenie jej ochrzczenia, a królowa Jadwiga, na czele hufców polskiego rycerstwa wyruszyła na Ruś Czerwoną.

Wyprawa ta miała na celu oswobodzenie tej części Polski od Madjarów; król Ludwik bowiem wbrew przyrzeczeniom zachowania jedności i całości Polski, oddał swego czasu Ruś Czerwoną w zarząd Władysławowi, księciu opolskiemu, później zaś obdarzywszy go ziemią Dobrzyńską, obsadził grody czerwieńskie węgierskiemi załogami i tak sobie poczynał, jakby one były częścią królestwa węgierskiego. Jadwiga, wstępując na tron polski, przyrzekła przywrócić je Polsce; gdy jednak starania czynione w tym względzie u męża jej siostry Maryi, króla węgierskiego Zygmunta, nie odnosiły pomyślnego skutku, postanowiła z bronią w ręku upomnieć się o prawa Polski.

Pojawienie się hufców polskich z królową Jadwigą na czele, wywołało powszechną radość wśród uciśnionej przez Madjarów ludności. Słabe załogi węgierskie ustępowały przed Polakami bez boju i wnet mężna królowa polska stanęła u murów warownego Lwowa. Mieszczanie lwowscy wpuścili ją do miasta, a starosta węgierski Benedykt, który schronił się do zamku lwowskiego, wkrótce broń złożył. Jadwiga dotrzymała przyrzeczeń: Ruś Czerwona, oswobodzona od Węgrów, wróciła na łono polskiej ojczyzny.

Równie szybko i pomyślnie odbywała się równocześnie apostolska misya Władysława Jagiełły na Litwie.

Litwini, którzy półtora wieku blizko, zacięcie bronili swojej wiary pogańskiej przeciw Krzyżakom, którzy morze krwi swojej i krzyżackiej wylali w jej obronie, teraz jakby przemienieni, dobrowolnie pochylali głowy pod święconą chrztu wodą, tysiącznymi tłumami spieszyli w celu przyjmowania wiary chrześcijańskiej, spokojnie patrzyli, jak w ich świątyniach gaszono Znicz, wiecznie płonący ogień święty, jak wycinano święte gaje i z ziemią świątynie pogańskie zrównano. Rzecz dziwna, a przecież całkiem zrozumiała! Litwinom nie obcą była wiara chrześcijańska, wśród nich pełno chrześcijan przebywało. W rodzinach litewskich branki polskie od dwóch wieków szerzyły Chrystusową wiarę, zasady chrześcijańskie miłości i przebaczenia.

Oni już dawno zwątpili o potędze swych bogów, a jeżeli się ich jeszcze trzymali, jeżeli w obronie ich życie nieśli w ofierze, to czynili to dlatego, iż wiarę chrześcijańską chciały im narzucić z mieczem i głownią pożaru w rękach kroczące Krzyżaki „psubraty“. Jak tym ostatnim nie o rozszerzenie chrześcijańskiej wiary, jeno o podbicie i uciemiężenie Litwinów chodziło, tak ci znów bronili swych bogów, jako godła wolności i niezależności litewskiej. Gdy jednak stanął wśród nich własny książę z krzyżem w ręku, otoczony Polakami, przychodzącymi do nich, jak równi do równych, wolni do wolnych i razem z nową wiarą, niosącymi im zwiastowanie swobody i wolności, uznali wyższość wiary, przynoszącej wolność i bez oporu pozwolili się nawracać.

Przyjęcie wiary chrześcijańskiej z rąk Krzyżaków, równało się oddaniu w wieczną niewolę, w wieczystą hańbę i upodlenie — natomiast z tą samą wiarą, przyjmowaną od Polski, wschodziła nad Litwą zorza wolności i swobody, nadzieja jasnej szczęśliwej przyszłości.

Litwa ówczesna, chociaż tak bardzo różna od Niemców i innych narodów zachodnio

europejskich, miała podobne do nich urządzenia społeczne. Tak samo, jak u Niemców, Francuzów, Anglików i t. p., panował u Litwinów porządek rzeczy t. zw. feudalny. Na czele stał wielki książę, jemu podlegali mniejsi, spokrewnieni z nim książęta, mający za poddanych szlachtę zwaną z ruska, a właściwie z normandzka bojarami, którzy znów panowali nad ludem wiejskim, nad kmieciami.

Przy takiem urządzeniu społecznem, nie było w Litwie miejsca na wolność, wszyscy w niej bowiem byli zawisłymi i podległymi. Tymczasem w Polsce, jak wiemy, pomimo istnienia stanów: duchownego, ziemiańskiego i mieszczańskiego, panowała wolność, gdyż stany te stały obok siebie, nie ponad sobą i każdy z nich miał swoje prawa i swobody.

Z wiarą, pochodzącą z Polski, szła nadzieja wprowadzenia społecznych stosunków polskich i polskiej wolności, więc nie dziw, iż lud litewski chętnie pozwolił się Jagielle nawracać, i że kilka miesięcy czasu wystarczyło do ochrzczenia Litwinów i dokonania wiekopomnego dzieła, którego przemoc krwiożerczych Krzyżaków nie potrafiła wykonać w ciągu lat stu pięćdziesięciu.

Tak poświęcenie Jadwigi przyniosło wspaniałe owoce, przysporzyło chrześcijaństwu miliony nowych wyznawców, Polsce zaś, cały naród litewski z wroga, przemieniło w druha i wiernego przyjaciela, a granice jej rozprzestrzeniło szeroko: Od Śląska na zachodzie, po zadnieprskie stepy na wschodzie, od brzegów żmudzkich Bałtyckiego morza na północy, do dzikich pól na południe, o wybrzeżach, kąpiących się we falach morza Czarnego. *Inż. Eustachy Śmiałowski.*

ZŁOTE ZIARNKA.

Jeśli czekasz, by twój nieprzyjaciel pierwszy przyszedł się przeprosić, sam na tem najwięcej stracisz, bo on, czyniąc pierwszy krok do pojednania, pozyskuje od Boga nagrodę, którą ty mogłeś taksamo otrzymać.

BOCIAN.

Przyleciał bocian z dalekiej strony,
Widać, że wraca z drogi tułaczej,
Na strzechę spuścił skrzydła znużone
I taką dumkę dla mnie kołacze:

Ach pół już roku upływa blisko;
Lecz jakże długo mi się to zdaje
Kiedym porzucił strzechę tą niską
Poleciał w cudze, dalekie kraje.

Przez czas ten cały, miałem dostatek,
I w starem gnieździe schronienie pewne
Dla siebiem szukał dla miłych dziatek
Po obcych niwach me pożywienie.

Przed kilku dniami, dla braku strawy,
W drogem się wybrał w krainę inne
Długo leciałem, aż oko łzawe,
Znaszło, co chciało, gniazdo rodzinne.

Na niem dziś siedzę, jak przed pół rokiem
Biją się myślą nad zdarzeniami,
Po znanych stronach błądzę mem okiem,
Witam dom stary między drzewami.

Bo ty gniazdeczko, strzecha ta niska,
Moczar ten wielki, olbrzymia grusza,
Ten lud znajomy, łzy mi wyciska,
Pierś utęsknioną w głębi porusza.

Też same niwy poznaję wszędy,
Wszystko jak było, dzisiaj zastaję.
A gdy miesięcy sześć tu przebędę
Ulecę znowu w cieplejsze kraje.

* * *

Spiesz się młodzieńcze, w wędrowca szacie,
W rodzinną stronę, w rodzinną chatkę,
Uściskaj wszystkich, siostry i braci,
Powitaj czule ojca i matkę.

A ujrzysz może, co dusza roi,
Do czego tęskno wyciągasz dłonie,
Z długim warkoczem cudną dziewoję,
Jak na twój widok, niby mak płonie.

A może ona godziny liczy,
Co dzień wybiega gdzie droga pusta.
A może pierwszy całus dziewiczy,
Jak motyl padnie na twoje usta?

Spiesz się młodzieńcze, w najmilszym kole,
Gdy wzrok tkliwości nasycisz łzami,
Znowu odlecisz młody sokole
Szukać gdzieś szczęścia po za górami.

Julian Ł.

DUKATY.

Żarem palącym spadały wieści o powstaniu! Jedni wierzyć nie chcieli – drudzy rzucali się jak w bolu strasznym, inni w olbrzymów urastali w jednej godzinie.

A wieść o nocy 29 listopada, o Warszawie wolnej od Moskali leciała z krańca w kraniec, jak ołów ciężka, jak szczęście lotna, huczała gromem nad dachami dworów i pałaców, nieśmiało dzwoniła w szyby okienek u chat niskich, stawała w progu i pytała: czyli zrozumiecie, co wam niosę?...

Zrozumieli i szli.

Tak z Końskowoli młody chłopak wiejski obudzony wieścią o powstaniu wybiera się w drogę.

Matka płacze, dziewoja wstrzymuje, sąsiedzi odradzają, lecz darmo.

— Padła mi iskra paląca w serce i iść muszę...

Lecz bieda cała, nie ma z czem i na czem.

Przyodziewek lichy, szkapa ledwie dycha. Śmieją się z niego chórem, gdy na nią wsiada i powiadają złośliwie:

— Ani mili na niej nie dojedziesz.

— Bylem spotkał Kozaka, to już zamieniamy się, on na mojej będzie siedział, a na jego koniu ją pomknę.

— Zkądże weźmiesz broni? – z drwinami pytają koledzy – maszże ty dukaty na nią?

— Bylem kozaka spotkał, będzie broń – odpowiada dzielny Kwiecik Nikodem, czapczynę nasunął na lewe ucho i – w drogę...

Wicher nie pieści, ani całuje... nie szepce słodkiej dumki, tylko w oczy plwa wilgocią chłodną, w twarz rzuca pociski ostre, oddech tamuje, jak owa złość ludzka, któraby dusić rada i wszystko utrudnić.

— Dukaty! – myśli Kwiecik – powiadali, że na broń trzeba mieć dukaty... a przecie ja sobie radę dam. Oni siedzą we wsi – do wojny iść nie chcą.. myślą, że pobić wroga tak trudno, jak znaleźć dukaty, a ja...

W tem migło mu coś przed oczyma..

Z za krzaków olszyny wysunął się oficer kozacki na koniu, któremu z nozdrzy bucha para jak z komina, któremu z pod kopyt rozpryskuje się woda jakby z konwi ją lano... a mknie niby zły duch, Kwiecikowi serce na chwilę zamarło. Krew do głowy uderzyła, chwila, a już gotowy plan w myśli.

— Dogonię go, złapię i konia wezmę.

— Lecz na tej szkapie, która ledwie się wlecze?... idź Kwieciku głupi, idź szalony chłopcze, skryj się za łozy i osiczyn krzewy nie tobie za kozakami gonić... już i nie widać go wcale.

Ale choć tak rozwaga przemawia do chłopczyny ze wsi, on jej nie słucha... podbija szkapę, naciąga uzdę, pędzi...

Na skręcie pod lasem oficer odwrócił się, obaczył goniącego; przyśpiesza; Kwiecik nie ustaje. Licha, nędzna szkapa wyciągnęła nogi i jakby jej sił przybyło, coraz prędzej galopuje. Już są bliżej – już obok.

Oficer wyjmuje z kieszeni garść dukatów rzuca na ziemię, wołając z przekleństwem:

— Masz złoto – zbieraj!...

Kwiecik spojrzał na lśniące dukaty, leci nie schylił się, z ostatnim wysiłkiem szkapy rzucił się naprzód, oficera dogonił, chwycił w ręce jak kleszczami...

Nie miał czasu oficer za broń ująć — już zduszony przez dzielnego chłopa ze wsi, stał rozbrojony obok swego konia, ręce miał skrępowane i minę nie rycerską.

Wiedzie go Kwiecik z sobą, każe schylić się do ziemi, wyzbierać rzucone dukaty, a z niemi razem, na koniu wspaniałym wjeżdża do Warszawy.

Gdy się zgłosił do gwardzistów, gdy oddał oficera, konia i dukaty, powiada jeden z przełożonych:

— Moskal nasz, ale koń i dukaty twoje.

— Niech zostaną na broń dla tych, co jej nie mają — odpowie Kwiecik dziarsko, ja już broń mam dobrą, a konia wezmę z ochotą.

I jak pisze „Kuryer Polski“ warszawski z roku 1831, dzielny krakus, dukatów rzuconych przez oficera moskiewskiego przyjąć nie chciał, wstąpił do wojska polskiego, a tylko swej szkapy zmarnowanej czasem żałował...

. . . .

Inaczej postąpił szewc, Tomasz Kwitkowski. Pisze do „Kuryera Warszawskiego“ tak:

„Przeczytałem w gazecie, że Dybicz, moskiewski generał, ofiaruje po 500 i 2000 dukatów dla tych, którzy mu przyprowadzą „uczciwych ludzi“ na służbę dla zdrady. Przeto ja, podpisany majster kunsztu szewskiego, przyrzekam, że nie za poczciwego człowieka, ale za łajdaka Dybicza, kto go złapie i dostawi, dam 100 par butów w nagrodę“,

Tak moskiewskie dukaty w owych czasach nie miały chętnych nabywców... ale też za to — wielkie czyny bohaterskich ofiar i poświęceń rozsiewały się po ojczyźnie jako najdroższe dukaty — obywatelskich cnót.

Żarem palącym są dziś owe wspomnienia z roku 1831!... Nie te czasy i nie te serca u ludzi...

DO DZIEWCZĘCIA.

Ciesz się dziewczę, śmiej i śpiewaj,
Póki lica kwitną wiosną,
I łez darmo nie przelewaj,
Raczej patrz, jak kwiatki rosną.

A więc biegnij dziewczę hoże,
Na doliny po równianki,
Gdzie majowe kwitną róże,
Pachną z leśną macierzanki.

Przyjdą, przyjdą kiedyś lata,
Gdy łzą gorzką oko spłynie,
Nie wesoła, nie skrzydlata,
Przyjdziesz spocząć w tej dolinie.

I powoli z twojej głowy,
Zlecą kwiaty barwą świeże,
Twoich uczuć blask różowy,
Szczeźnie, zginie w życiu wirze.

Z jasnych marzeń, snów wiośnianych,
Nie zostanie nic o dziecię
Z twoich wdzięków lic rumianych,
Czas szkarłaty zerwie skrycie.

Twa wesołość, twa swoboda,
Co bez troski cicho płynie,
Jak potoku rwąca woda,
Gdzieś tam w sinej rzece zginie.

Wtedy kryjąc oczy w dłonie,
Gdzie ma wiosna? jękniesz w bolu
„W koło pięknie kwitnie błonie“
„Piękne kwiatki kwitną w polu“.

Kwitną kwiaty... Dla nich zima,
Krótkim tylko snem na świecie,
Chociaż trochę mróz przetrzyma,
Z wiosną piękniej błyśnie kwiecie.

Lecz gdy ciebie zziębi córo
Żegnaj, żegnaj dolę młodą,
Bo się góra zejdzie z górą,
Ty nie spotkasz się z swobodą.

A więc ciesz się, śmiej i śpiewaj,
Póki lica kwitną wiosną,
I łez darmo nie przelewaj,
Raczej patrz jak kwiatki rosną.

Julian Ł.

W SZEŚĆDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ WIOSNY WOLNOŚCI.

Sześćdziesiąt lat upływa od roku 1848., roku promiennych, lecz złudnych nadziei, w którą ponad Europą powiał wicher wolności, zdający się zwiastować narodom europejskim nowe życie, życie swobody i pomyślności, a narodowi polskiemu odzyskanie praw mu wydartych. Na ziemi naszej w zaborach pruskim i austryackim, zajaśniała w tym roku chwilowa, krótkotrwała wolność, a w pierwszym z nich, na wielkopolskich niwach Miłosławia i Wrześni, orzeł biały rozwinął na chwilę zwycięsko skrzydła, widząc w bój waleczne polskie zastępy, przed których kosami i grotami pierzchały w nieładzie butne szeregi krwiożerczych Prusaków.

Te krótkie chwile nadziei i zwycięstwa nie zadarmo przypadły w udziale narodowi naszemu. Wywołała je piętnastoletnia praca nad rozbudzeniem i uświadomieniem narodu, praca rozwijająca się żmudnie w trudzie i znoju od roku 1831. Stoczona w roku tym walka orężna o wolność i niepodległość Polski, pomimo sprzyjających jej okoliczności, wskutek nieudolności ówczesnych naszych przewódców, nie doprowadziła narodu do zwycięstwa. Okryte chwałą, pełne męstwa i poświęcenia wojsko polskie, nie chcąc poddać się wrogom poszła na tułactwo i osiedliło się przeważnie we Francyi, w oczekiwaniu stosownej chwili do powrotu na ojczystą ziemię i rozpoczęcia nowego boju o jej wolność.

Wśród składających je patryotów, do niedawna mężnych żołnierzy, obecnie tułaczy wygnańców, zwanych z łacińska e m i g r a n t a m i, potworzyły się liczne związki i stowarzyszenia, mające na celu przygotowanie, przyspieszenie i umożliwienie powrotu do kraju. Wśród związków tych największym i najbardziej rozpowszechnionym, było T o w a r z y s t w o d e m o k r a t y c z n e, t. j. ludowe, które postanowiło przez oświecenie i uświadomienie ludu, rozbudzić w najszerszych masach narodu miłość wolności, miłość ojczyzny i przy pomocy ludu wywalczyć Polsce wolność i swobodę. W tym celu wysyłało Towarzystwo do wszystkich trzech zaborów, na które Polskę rozdarto, dawnych żołnierzy polskich, by szli pomiędzy lud, nauczali go i uświadamiali. Wysłańców tych zwano z łacińska e m i s a r y u s z a m i. Zadanie ich było nadzwyczaj trudnem. Każdy z nich, już jako żołnierz polski z r. 1831., wygnanym był z kraju pod karą śmierci i jako takiemu, w razie ujęcia go przez władze moskiewskie, pruskie lub austryackie, groziło mu rozstrzelanie, lub szubienica. W przebraniu więc, pod obcemi nazwiskami, musieli się przekradać do kraju, a tu strzedz pilnie, by ich nie poznano i nie pochwycono. Położenie ich było tem trudniejsze, żeby znaleść wiarę w słowa swoje i zyskać zaufanie, musieli iść w te okolice Polski, z których pochodzili, gdzie ich znano, gdzie mieli rodziny, przyjaciół lub znajomych.

Niebezpieczeństwa grożące emisaryuszowi były stokroć przykrzejsze i trudniejsze od pokonania, niż te, jakie napotyka żołnierz na wojnie. Żołnierz idzie w bój jawnie, otwarcie i wie, że jeżeli zginie, to przynajmniej okryje się chwałą. Emisaryusz musiał przemykać się w przebraniu, zapierać samego siebie, tułać z miejsca na miejsce, ścigany ciągle niebezpieczeństwem więzienia, lub śmierci, nie przynoszącej sławy, ni zaszczytu. Nie zważając na to emisaryusze nasi, jak

prawdziwi apostołowie, szli między chaty i dwory polskie, niosąc słowa prawdy i miłości. Nauczali co to jest Polska — wykazywali, że Polska to wolność, szczęście i sprawiedliwość. Wskazywali ludowi, gdzie szczęście i przyszłość jego, a zarazem rozbudzali wśród szlachty, wśród możnych miłość wolności, starając się ich nakłonić, by dla miłości tej, by dla dobra Polski zrzekli się swych wygód i przywilejów, nadanych im przez rządy najezdnicze, by zbratali się z ludem i z nim społem poszli na wrogów.

Wzniosła, szlachetna była to praca, pełna niebezpieczeństw, zaparcia się i poświęcenia. To też setki emisaryuszy padło rozstrzelanych, jak Szymon Konarski, skonało na szubienicach, jak Artur Zawisza, poszło do więzień austryackich i pruskich, lub w lody Sybiru.

Wreszcie po piętnastu latach takiej pracy zdawało się, iż powinna plon wydać, że lud polski jest już dostatecznie przygotowany do chwycenia za oręż i upomnienia się z nim w ręku o prawa Polski.

Zarząd Towarzystwa demokratycznego zwany Centralizacyą, co wyrażone czysto po polsku, znaczy tyle, jak: skupienie,ześrodkowanie, mający swą siedzibę we Francyi, w Paryżu, postanowił rozpoczęcie powstania w całej Polsce na ostatnie dnie lutego 1846. roku. Na całej ziemi polskiej naród miał wszędzie chwycić za oręż, równocześnie w miastach i po wsiach. Rozbroić wojsko najezdnicze, usunąć obcych urzędników i zastąpiwszy ich narodowymi, ogłosić wolną i niepodległą Rzeczpospolitą polską.

„Nie chcemy mordów ni łupów — mówili emisaryusze — w dniu, w którym nasza święta, nasza Polska powstanie, nie powinna ani kropla krwi popłynąć!“.

O takim bezkrwawym, wzniosłym porywie narodu, marzyli wysłańcy Centralizacyi, marzyli ludzie święci, jak Teofil Wiśniowski, Edward Dembowski, Julian Goslar i wielu, wielu innych.

Spełnienie tych wzniosłych marzeń było możliwem tylko w takim razie, gdyby cały naród, wszyscy Polski mieszkańcy: szlachta, lud wiejski, mieszczanie, przejęci byli takim zaparciem się, poświęceniem, taką miłością Polski, wolności i sprawiedliwości, jak ci emisaryusze, których nazwiska wyżej wymieniono.

Niestety — dziś jeszcze nie blisko ogółowi naszemu do uczuć takich — w lutym 1846. r., było mu do nich jeszcze bardzo daleko — szlachta tylko w części, lud wyjątkowo tu i ówdzie gotów był do czynu.

W zaborze pruskim i moskiewskim powstanie prawie całkiem do skutku nie przyszło.

Kraków, będący wówczas wolnem i niepodległem miastem, chwycił na dni kilka za broń pod wodzą Jana Tysowskiego — w zaborze austryackim zaś, w tak zwanej Galicyi, zgrozy pełne zaszły wypadki, które powstanie narodowe zupełnie unicestwiły.

Dzisiaj Galicya jest jedynym zakątkiem ziemi polskiej, w którym wolno być Polakiem, myśleć, czuć i działać po polsku, pracować dla Polski i wolności.

Nie tak było w r. 1846. W owych czasach narodowość polska stosunkowo najsilniej uciskaną była w austryackim zaborze. Pochodziło to stąd, że ówczesną Austryą rządzili Niemcy i zniemczali Czesi, którzy wszystkie narody, w skład państwa austryackiego wchodzące, pragnęli przerobić na Niemców. Dążyli wprawdzie do tego samego celu Prusacy w zagarniętych przez nich dzielnicach Polski, ale Prusy były wtenczas małem i słabem państwem, musiały się liczyć z Polakami, oraz z Francyą przychylną Polakom. To też w zaborze pruskim była jaka taka wolność druku, a język polski miał pewne prawa w szkołach, sądach i urzędach. Natomiast w Galicyi wszystko szło po niemiecku, a sroga cenzura, nie ustępowała w niczem moskiewskiej.

Wobec niezadowolenia, jakie w mieszkańcach ziem polskich, podlegających Austryi,

wywoływał taki stan rzeczy, tamtoczesny rząd austryacki starał się pośród tych mieszkańców utrzymywać wzajemne nieporozumienia, niechęć i nienawiść, rozumiejąc dobrze, że nad zwaśnionymi i kłócącymi się łatwiejsze jest panowanie. Szczególnie starano się o rozbudzenie nienawiści włościan ku szlachcie. W tym celu nadano szlachcie większe przywileje, aniżeli miała w Rzeczypospolitej polskiej i uwolniono ją od obowiązku służenia w wojsku, natomiast włożono obowiązek ten na włościan, którzy nie podlegali mu za polskich czasów i nałożono na nich podatki, jakich za czasów tych nie płacili, wszystko zaś to czyniono w taki sposób, by zdawało się, iż dzieje się za wolą i na życzenie szlachty; chociaż były to zwyczaje niemieckie, wprowadzone wbrew jej woli i życzeniom, o czem włościanie nasi naturalnie nic nie wiedzieli.

Dla większego zaostrzenia złych stosunków pomiędzy wsią, a dworem, zaprowadzono osobnych urzędników, zwanych mandataryuszami. Urzędnik taki był sędzią i samowładnym panem nad włościanami, zależał w zupełności od Niemca starosty, który mógł każdego czasu mandataryusza wsadzić do kozy, karać grzywnami, a nawet kijem obić, płacę jednak pobierał mandataryusz od dziedzica i uchodził za jego oficyalistę. To też jak dokuczył ludziom, ci mieli o to złość do „pana“, chociaż ten nic nie był winien i najczęściej o niczem nie wiedział.

Przy takiem urządzeniu łatwo było szerzyć nieufność i zawiść.

Z zasiania tych złych uczuć skorzystano, gdy spostrzeżono pracę apostolską naszych emisaryuszy w Galicyi, a gdy zdawało się, że powstanie wybuchnie, ówcześni urzędnicy Niemcy zaczęli lud straszyć, że „panowie“ dlatego chcą zrobić rewolucyę, by lud srożej ucisnąć, obłożyć większą pańszczyzną, oraz zwalić na niego wszystkie opłaty i podatki. Wreszcie gdy dowiedzieli się, że powstanie ma się rozpocząć dnia 21. lutego 1846. roku, rozpuścili wieść, że „panowie“ w dniu tym zaczną rznąć chłopów i że dlatego trzeba „panów“ uprzedzić, uderzyć na dwory i dziedziców wyrznąć. Nie wahali się nawet twierdzić, naturalnie wbrew prawdzie, że papież przez trzy dni: 19., 20. i 21. lutego, pozwolił zabijać bez grzechu!

Piekielna ta agitacya nie wywołała takiego skutku, jakiego spodziewali się Niemcy — nie wszędzie lud uwierzył szatańskim podszeptom, na 19 okręgów, na które wówczas dzieliła się Galicya, tylko w sześciu tj. w Tarnowskim, Bocheńskim, Sądeckim, Jarosławskim, a częściowo w Sanockim i Wadowickim, oraz w jednej jedynej wsi na Rusi, w Horożanie wielkiej stanęły w płomieniach dwory i popłynęła krew bratnia. W trzynastu innych okręgach nie skalał się lud bratobójczą rzezią.

Lecz trupy dwuch tysięcy przeszło niewinnych ofiar i pożar kilkuset dworów, dostatecznym były ciosem, by unicestwić walkę o wolność.

To też oprócz Krakowa, powstali w imię Polski w dniu 21. lutego 1846. roku, jeszcze tylko mieszkańcy wsi Chochołowa, u stóp turni tatrzańskich, na Podhalu. Spełnili wiernie program bezkrwawego powstania narodowego, a napadnięci przez strzelców granicznych, w dniu 22 go, odparli ich zwycięsko pod wodzą organisty Jana Kantego Andrusikiewicza i wikarego księdza Leopolda Kmietowicza.

Tak więc sztandar polski, na całej jej przestrzeni, rozwinęły w r. 1846. tylko Kraków i Chochołów, a pomiędzy temi dwoma ogniskami boju o wolność, na rozdzielających je równinach, szalała grabież pożoga i mord — szalała wściekłość obałamuconych, oszalałych tłumów, pędzących mordować braci, którzy dla ich szczęścia i wolności gotowali się nieść życie i mienie w ofierze.

Mieszkańcy Krakowa i Chochołowianie za słabi byli, wpłynąć na losy Polski w r. 1846., a to tembardziej, gdy w zaborach: moskiewskim i pruskim wcale do walki orężnej nie przyszło. Pod Prusakiem przywódców po-

wstania powięziono w połowie lutego, a usiłowany mimoto napad na Poznań całkiem się nie udał.

Prusacy z powodu zamierzonego przeciw nim powstania uwięzili paręset osób i 254. z nich wytoczyli ogromny proces w Berlinie, w więzieniu Moabicie. Proces ten trwał od 2. sierpnia do 2. grudnia 1847. r. i zakończył się skazaniem ośmiu uwięzionych na śmierć przez ucięcie głowy toporem, innych na dłuższe lub krótsze więzienie.

Srogi wyrok berliński i rzeź galicyjska zwróciły uwagę na naród polski i powszechne wzbudziło dla Polski współczucie.

Krew bohaterów i męczennników nie płynie nigdy na darmo. Zamierzone powstanie polskie w r. 1846., poruszyło całą Europę. Wszystkie nardy poczuły, że im źle pod samowładnymi rządami — zapragnęły swobody i wolności.

Pierwsza powstała Francya w lutym 1847. r. zrzuciła z tronu króla Ludwika Filipa i ogłosiła się rzecząpospolitą.

I zdało się jakby to było umówione hasło do powszechnej rewolucyi.

Za przykładem Paryża, stolicy Francyi 13. marca Wiedeń, 18. tegoż miesiąca Berlin!

Co prawda, że Wiedeńscy i Berlińscy, nie zamierzali pozbawiać tronu swoich monarchów, zażądali tylko zniesienia samowładnych rządów i zaprowadzenia swobód konstytucyjnych.

Tak cała Europa zapragnęła wolności, nawet Niemcy, przywykli do niewoli i uległości. Nawet wśród nich ozwało się hasło wolności i braterstwa ludów.

W końcu marca 1848. r. zdawało się, że nowe czasy nastają na świecie; że znika nienawiść pomiędzy narodami, że odtąd zapanuje pomiędzy nimi zgoda i braterstwo!

Tak się zdawało, kiedy nawet Niemcy co to radzi zawsze przewodzić nad innymi i żyć cudzym kosztem, teraz głosili wolność i braterstwo narodów. Nawet oni twierdzili, że każdy naród powinien być wolnym i niepodległym.

Dnia 22. marca mieszkańcy stolicy Prus Berlina, przypomnieli sobie o Polakach więzionych w Moabicie. Proces tych więźniów skończył się jak wiemy dnia 2. grudnia 1847., wyrok jednak dotychczas wykonanym nie był, gdyż skazani założyli odwołanie od wyższego sądu, który ich sprawy jeszcze nie rozstrzygnął; głowy więc 8-miu skazanych na śmierć siedziały jeszcze zdrowe na karkach. Teraz już miały na nich nadal pozostać, gdyż lud berliński zmusił króla Fryderyka Wilhelma do udzielenia więźniom polskim zupełnego ułaskawienia i otwarłszy bramy Moabitu wyprowadził ich w tryumfie na wolność. Ludwika Mierosławskiego i Karola Libelta, skazanych na śmierć, a uważanych za naczelników zamierzonego w roku 1846. w zaborze pruskim powstania, wsadził lud do powozu i wyprzągłszy konie, powiózł własnemi rękami przed pałac króla pruskiego. Tu niezwykła odbywa się scena. Król pruski, największy wróg Polaków, wezwany nieustającymi okrzykami ludu: „Friedrich Wilhelm raus!“, coby po polsku znaczyło: Fryderyku Wilhelmie wychodź, wyszedł na balkon i na żądanie ludu musiał więźniów polskich powitać grzecznym ukłonem i wołać wraz z ludem: niech żyje Polska!

Mierosławski i Libelt przemówili do ludu w gorących słowach, a Niemcy, Prusacy, jakby odmienieni, wołali, że chcą barterstwa ludów, że chcą być braćmi Polaków i iść z nimi razem na Moskali, jedynych już teraz wrogów Polski i wolności, że chcą wojny o wolność i niepodległość Polski!

Dziwna to rzecz była podobne uczucia w Prusakach; lecz jakżesz nie wierzyć było, gdy objawiały je tysiące ludu berlińskiego, niczem do tego nie zmuszonym!

Pod wpływem tak przyjaznych dla Polski objawów zawiązały się w Berlinie i w Poznaniu polskie komitety narodowe, które uwierzywszy, że Prusy naprawdę chcą wydać wojnę Moskwie i oswobodzić Polskę, zaczęły w Poznańskiem formułować wojsko polskie,

a zarazem zażądały od rządu pruskiego oddzielenia od Prus podlegających im ziem polskich i zaprowadzenia w nich polskich rządów.

Prusacy, którzy w Poznańskiem bardzo mało mieli swego wojska, zdawali się początku na wszystko przystawać, gdy jednak widzieli, że lud wiejski ochoczo spieszy pod chorągwie polskie, że wszędzie po wsiach osadza kosy na sztorc i lance kuje, zaczęli zewsząd ściągać wojska pruskie w Poznańskie, wciąż taką minę robiąc, jakby to wojsko przeciw Moskwie razem z Polakami walczyć miało; skoro go już dość nagromadzili, a tymczasem zapał rewolucyjny Berlińczyków przygasł i braterstwo ich z Polakami zaczęło iść w zapomnienie, przestali mówić o wojnie i udawali już tylko, że chcą wielkie księstwo Poznańskie urządzić polski sposób, a z formującego się wojska polskiego utworzyć dywizyę poznańską, w polskich mundurach t. z. polską komendą.

W kwietniu 1848. r. przybył do Poznania generał Pruski W i l i s e n, oświadczający się z wielką przyjaźnią dla Polaków, niby to w celu wykonania tych polskich urządzeń. Wkrótce jednak oświadczył, że król pruski nie może się zgodzić na liczniejsze jak trzy tysiące niespełna ludzi liczące i zażądał, by wojsko to podzielone na 4 części stanęło obozami w Pleszowie, Nowem mieście, Książu i Miłosławiu.

Chociaż widoczną już była zła wola Prusaków, a wojsko pruskie, coraz bardziej rosnące w siłę, zaczęło napastować Polaków, odbierać broń wieśniakom i dopuszczać się przytem mordów i grabieży; Komitet narodowy polski w Poznaniu ciągle jeszcze łudził się nadzieją, że na drodze pokojowej potrafi porozumieć się z rządem pruskim i zawarł z generałem Wilisen, d. 11. kwietnia 1848. r., ugodę w Jarosławcu, mocą której formujące się wojsko polskie zredukowano do 3 tysięcy i rozłożono je we wskazanych przez Wilisena obozach.

Skoro się to stało, król pruski odwołał Wilisena i przysłał w jego miejsce generała Pfuda, który na inną nutę zaczął śpiewać.

Ogłosił stan wojenny w Poznaniu, a obozy polskie otoczył 30 tysiącami Prusaków, którzy je zaczęli przeć ku granicy Królestwa, obsadzonej gęsto przez Moskali. Teraz nie ulegało już wątpliwości, że Prusacy zamierzają wojsko nasze rozbroić. Ale wojsko to nie miało wcale ochoty składać broni przed Prusakami. Postanowiono je skupić pod Miłosławiem. Tymczasem Prusacy napadli d. 29. kwietnia obóz w Książu i otoczywszy go kilkakroć przeważającemi siłami załogę jego po bohaterskim oporze w części wycięli, w części zabrali do niewoli.

Obozy w Pleszowie i Nowem mieście nie czekając losu Książa, ruszyły pod Miłosław, gdzie d. 30. kwietnia przyszło do gorącej rozprawy.

O 9-tej rano pięć tysiecy Prusaków, z liczną artyleryą zaatakowało Miłosław, broniony przez 1800 Polaków, po większej części uzbrojonych w kosy, oraz przez cztery małe armatki.

Nasi pod wodzą Naczelnika Ludwika Mierosławskiego stawili mężny i zacięty opór, a gdy z lasu położonego na południe od Miłosławia nadciągnął kilkaset ludzi liczący oddział Białoskórskiego, Prusacy zaatakowani z boku, musieli opuścić chwilowo opanowany Miłosław i pierzchli w nieładzie tam, skad przyszli, t. j. ku miastu Środzie, ścigani przez naszych ułanów.

Po tem zwycięstwie, ruszył Mierosławski z całem wojskiem naszem ku miastu Wrześni, przeciw Prusakom, nadciągającym pod wodzą generała Hirschfelda, od Gniezna.

Dnia 2-go maja o godzinie 4-tej po południu, spotkali się nasi z Prusakami pomiędzy Wrześnią a Sokołowem. Chociaż Prusaków było znacznie więcej, niż naszych i chociaż mieli 5 dużych armat przeciw naszym czterym małym armatkom, znów zwycięstwo uwieńczyło nasze orły białe.

Kawalerya pruska przypuściła gwałtowną szarżę na stojących w środku naszego szyku

kosynierów, ci jednak odparli ją zwycięsko i poszli mężnie do ataku, równocześnie jazda polska zajmująca nasze lewe skrzydło, obeszła Prusaków; zagroziła im odcięciem odwrotu, strzelcy zaś natarli na nich z naszej prawej strony. Zagrożeni zewsząd Prusacy zaczęli się cofać w porządku, wkrótce jednak silnie naciskani przez naszych, zaczęli uciekać w nieładzie i nie oparli się, aż w odległej daleko od placu boju wsi Czeluścinie. Tu napadł ich w nocy na czele jazdy polskiej Mierosławski i ponownie rozgromiwszy, do chyżej ku Gnieznu zmusił do ucieczki.

Piękne te zwycięstwa, odniesione pod Miłosławiem i Wrześnią, nad liczniejszymi liczebnie i wybornie uzbrojonymi Prusakami, przez hufce polskie, szczupłe liczbą, a za broń mające po większej części w piechocie tylko kosy, a w jeździe jedynie lance, świadczą znakomicie o nieporównanem męstwie naszych żołnierzy z r. 1848. Nie zdołały jednak wywalczyć sprawie narodowej ostatecznego zwycięstwa.

Bohaterzy zwycięzcy z pod Wrześni i Miłosławia, ściskani zewsząd przez dziesięćkroć liczniejsze zastępy Prusaków, musieli się w dni kilka po odniesionych zwycięstwach rozejść po lasach i zakopawszy broń, by nie dostała się w ręce nieprzyjaciół, bądź powrócić do domów, bądź pójść na nowe tułactwo.

Z rozejściem się wojska naszego, nie zaraz przecież ustał bój w Wielkopolce, lud lud tamtejszy przejęty gorącą miłością ojczyzny, nie mógł się tak łatwo wyrzec dalszej walki i toczył ją jeszcze przez parę tygodni, prowadząc wojnę podjazdową przeciw wojskom pruskim i walcząc z niemieckimi kolonistami, podburzonymi przez rząd pruski przeciw Polakom.

W innnych dzielnicach Polski, a zwłaszcza w Krakowie i Galicyi, nie było w r. 1848 powstania; tu postanowiono korzystać z ogłoszenia konstytucyi przez cesarza Ferdynanda i na pokojowej drodze starać się o prawa narodowe. Z Krakowa i Lwowa wysłano do Wiednia deputacye, które żądały zniesienia pańszczyzny w Galicyi, oraz zaprowadzenia języka polskiego w szkołach, sądach i urzędach, jakoteż utworzenia wojska polskiego, pod nazwą gwardyi narodowej.

Pod wpływem świeżej rewolucyi wiedeńskiej, deputacye te zyskały przyrzeczenie wszystkich swych żądań i zdawało się, że w zaborze austryackim zapanuje wolność.

Złudne to były nadzieje. W Krakowie już 26 kwietnia 1848 roku, wojsko austryackie zajęło Rynek i główne ulice miasta i zaczęło bez przyczyny ze strony mieszkańców, strzelać do gwardyi narodowej i do przechodniów. Przyprowadzeni do rozpaczy Krakowianie uzbroili się jak mogli i wraz z nieliczną i po większej części nieuzbrojoną gwardyą narodową uderzyli na Austryaków. Po krótkim boju, wyparli ich z Rynku. Na Grodzkiej ulicy, austryacki generał komenderujący Castiglione, otrzymał postrzał w twarz czcionkami drukarskimi, a wojsko zaatakowane z boku przez cech rzeźników, pierzchło w nieładzie i ukryło się w Zamku na Wawelu, stąd rozpoczęło gwałtowny ogień działowy na miasto. Przez dwie godziny trwało bombardowanie. Na domy i kościoły sypały się kule działowe, granaty i race kongrewskie pożar wzniecające. Zdawało się, iż kościół Maryacki i inne zabytki przeszłości spłoną i legną w gruzach. Na szczęście udało się ludowi otoczyć oddział wojska, który nie zdołał umknąć na Zamek, oddział ten wywiesił białą chorągiew, a dowódca jego udał się na Wawel i wyjednał chwilowe wtrzymanie bombardowania. Pod grozą ponowienia tegoż zawarło miasto z generałem Castiglione układ, mocą którego zobowiązało się, że emigranci polscy, służący w gwardyi narodowej, ustąpią z Krakowa, gwardya broń złoży, a Komitet Narodowy zaprzestanie swego działania.

W Galicyi nieco dłużej niż w Krakowie potrwała swoboda. We Lwowie utworzyła się Centralna Rada Narodowa, po obwodach zaś, na które się wówczas Galicya dzieliła, obwodowe Rady Narodowe, pod'egające Centralnej.

Rady te wzięły się rączo do pracy, zaczęły wprowadzać urzędowania narodowe i formować gwardyę, która otrzymała karabiny i piękne polskie mundury granatowe z karmazynowemi wyłogami.

Taki stan rzeczy dotrwał do jesieni; gdy jednak tymczasem wobec upadku rewolucyi wiedeńskiej nowy wiatr powiał w rządzie austryackim, postarano się o wywołanie we Lwowie nieporozumienia pomiędzy gwardyą narodową a wojskiem; w dniu 2 listopada Lwów zbombardowano, obracając w gruzy ratusz, teatr i inne gmachy publiczne, gwardyę rozbrojono i zaprowadzono w całej Galicyi stan oblężenia.

Trwała swoboda miała zapanować w zaborze austryackim dopiero w 19 lat później, po klęskach wojny włoskiej z r. 1859 i pruskiej, stoczonej w 1866 r. Teraz dopiero zrozumiał rząd austryacki, że potęga państwa winna się opierać na zadowoleniu zamieszkujących je narodów, a nie na brutalnej sile i przemocy.

Dziś wolno nam pod panowaniem austryackim być Polakami i pracować w celu odzyskania naszych praw narodowych; za to pod Prusakiem i Moskalem uciskają nas srożej niż kiedykolwiek i to już nie same rządy pruski i niemiecki, ale wszyscy Moskale i Prusacy. Dziś każdy Moskal i każdy Prusak jest wrogiem naszym, który nietylko nie bierze za złe swemu rządowi, że Polaków uciska, lecz owszem pomaga mu w tem i podjudza do jak największych względem nas nieprawości.

Dziś w zaborze moskiewskim i pruskim ciężką walkę musi toczyć nasz naród, w pruskim zwłaszcza, gdzie świeżo sejm pruski wydał ustawę o wywłaszczeniu Polaków z ziemi, a parlament niemiecki uchwalił prawo, zabraniające przemawiania po polsku na zebraniach publicznych.

Ciężkie to ciosy dla braci naszych z zaboru ciężkie dla całej sprawy narodowej polskiej, lecz nie powinny napawać nas obawą i wątpieniem. Mimo więzów, któremi nas skrępowano, potężnym widocznie jesteśmy narodem, kiedy wrogi nasze boją się nas nawet jako rolników, kiedy dźwięk mowy naszej tak ich przeraża, że nie wahają okryć się hańbą, byle jej tylko nie słyszeć.

Nie zginie naród, którego tak bardzo lękają się wrogi i może śmiało powtarzać te słowa przedwcześnie zmarłego poety:

„Ten choć przyjaciół dziś nam nie stało,
Choć przepotężny jak dawniej wróg,
Kiedy czas przyjdzie, bój przejdziem śmiało,
Bo z nami prawo, bo z nami Bóg!“

Inż. E. Śmiałowski.

SIEROTA.

Jam urodził się sierotą,
Nie znam, co to zbytek, złoto.
Jednak nie mam ztąd zgryzoty,
Bo Bóg ojcem jest sieroty.

Wy wielmożni, wy herbowi,
W pysznych zamkach żyjcie zdrowi,
Ja zaś sam przy czarnym chlebie,
Szukać szczęścia chcę dla siebie.

Czem są wszystkie skarby świata?
Które chciwość ludzka zmiata,
Kiedy śmierć zapuka skrycie,
Wszystko złożyć tu musicie.

Ziemia nasza tak gościnna,
Dać przytułek mi powinna,
A wy ludzie prostej cnoty,
Miejcież litość dla sieroty.

Julian Ł.

DO MATEK.

Z bijącem sercem, z drgającą ręką, odzywam się do Was poraz pierwszy, drogie czytelniczki „Przodownicy". Chcę tu bowiem powiedzieć kilka słów o pielęgnowaniu i wychowaniu dziatek naszych. Drogie matki, natura obdarzyła nas słodkiem uczuciem macierzyństwa, lecz pamiętajmy, ileżto ciężkiego i w daleką przyszłość sięgającego obowiązku ciąży na słabych barkach naszych. Pytam się więc, czem jest pielęgnowanie dzieci? Pielęgnowanie dzieci nazwać możnaby: otoczenie ich taką rozumną opieką, żeby siły ich wzmacniały się stopniowo, aby ciało ich rozrastało się silnie i zdrowo, by tylko zdrowy człowiek może być zupełnie szczęśliwym. Tymczasem czerstwe zdrowie służy do należytego rozwoju ciała, dodaje siły do nauki i do zniesienia tyle ostrych chorób, które zwykle dotykają wiek dziecięcy. Jeżeli więc kochamy rodziny nasze, jeżeli nie chcemy, żeby nas wydziedziczono, lub nasze dzieci z ojcowizny, uczmy się, jak zachować dobre zdrowie, bo im więcej w kraju ludzi zdrowych i mocnych, tem kraj silniejszy, a im dłużej żyjemy, tem bogatszą staje się rodzina i rozwija się w pomyślność.

Więc jak należy pielęgnować nasze maleństwo? Dla dziecka, które prawie przyszło na świat, niewiele potrzeba, mianowicie, ciepły i czysty kącik, a o ile można czyste powietrze i pożywienie. A jednak w niektórych chatach tak trudno o czystość, która dla dziecka tak niezbędnie jak i pokarm potrzebna, bo dopomaga do utrzymania zdrowia, a ile razy ochrania od różnych niebezpiecznych i zaraźliwych chorób. Każda dobra matka kocha swe dzieci, niechże z miłości dla nich utrzymuje ochędostwo w domu. Wiem ja, że naszym gospodyniom utrzymanie schludności i porządku dosyć trudno przychodzi, lecz myślę znowu, iż na to pieniędzy nie potrzeba, lecz dobrej woli tylko i przyzwyczajenia, bo jak się przyzwyczaić można do nieporządku i brudu, tak przeciwnie do schludności i czystości.

Dzieci należy odżywiać dobrze i w regularnych odstępach, nie dorywczo, nie myśleć odrazu, kiedy ono zapłacze, że już pożywienia żąda, lecz dawać tylko w oznaczonych godzinach i nie dużo naraz. Przepełniając od młodości dziecka żołądek, można go uczynić obżarcą, co jest brzydką przywarą. Uczeni stwierdzają, iż dziecku nie powinno się dać nawet wody dużo naraz pić, bo przez to można go już uczyć opilstwa, będąc starszym, nie umie zachować miary i tożsamo upija się napojami alkoholicznymi, a opilstwo nie odpowiada godności człowieka; ileżto wykroczeń może uczynić człowiek w stanie nietrzeźwym. Pokarmy do odżywiania powinny być dobre, zdrowe i czyste. Nie mam tu na myśli jakich ciastek lub cukierków, lecz mleko i owoce, któremi nas nasza ukochana ziemia corocznie obdarza są najzdrowszemi i najnaturalniejszymi środkami pożywienia. Najtroskliwszego pielęgnowania potrzebuje dziecko w pierwszych latach, w których to nikt inny, tylko sama matka się najwięcej nim zajmuje. Nie trzeba tu zważać na inną robotę (co się często dzieje), a na ostatek nasze maleństwo po długiem czekaniu i krzyku ma być nakarmione i oczyszczone. Taka nieregularność nie może dziecka czynić zdrowem, przeważnie tymczasowo, kiedy choroby nerwowe tak ważną odgrywają rolę. Tu należy się starać, ażeby dziecko zawsze w największym spokoju zostawić.

Nie należy się dziwić, iż pokolenie coraz słabsze. Może przodkowie nasi, kierując się zdrowym rozsądkiem, wychowywali inaczej, więcej naturalnie, nie znano bowiem tyle alkoholu i tytoniu; dalej chcę jeszcze przytoczyć, że dawniej nie trapiono młodzieży w tak ciężkich pracach jak teraz, bo nie należy wymagać od dziecka trudu nad jego

siły, co się ogólnie po wsiach dzieje. Owszem, uczyć pracować powinna matka już od najwcześniejszej młodości, a to wszystko dziać się powinno bez szemrania i gniewu, można nawet i dziecko trochę potrudzić i potem pokazać, iż trudy prowadzą za sobą przyjemności. Uczyć pracować, a to rozsądnie, bo cóż tu mamy bez pracy i cóż nas może więcej uszczęśliwić jak praca. O, jakże musi być nieszczęśliwym, kto pracować nie umie, albo nie chce. Jedynie praca umila i uprzyjemnia nam nieraz ciężkie chwile i porywa gdzieś myśli nasze do krain szczęścia i zadowolenia. Pracować, bo życie nasze jest przeciągnięte jednem pasmem walk o chleb powszedni. Lecz nie dosyć tego. Czy tylko powinniśmy dbać o ciało wychowanka? Czy w ciele nie tkwi jakaś istota, co potrzebuje jeszcze dużo troskliwszego pielęgnowania jak ciało? Nie myślmy o tem, odżywiając odpowiednio ciało, że już wszystką powinność naszą wykonałyśmy. Pracę naszą koło wychowania porównaćby można do pracy rolnika lub ogrodnika w wiośnie.

Ileż to wiosenek posiadamy każda z nas? Jaki rachunek będzie musiało wydać kiedyś sumienie nasze? Jako natura obdarza wiosnę kwiatami, tak i my obdarzajmy wiosenki nasze kwiatkami pięknych i wzniosłych cnót. Tysiące skarbów rozrzucić można w wiośnie, lecz i na całe życie hojnie obdarzyć, tylko trzeba umieć w czasie jej panowania korzystać z owych chwil czarownych i zbierać ziarnko zasiewu, bo potem zapóźno!

Zapóźno, to straszny wyraz! Zapóźno, jestto wyraz równający się przekleńciu nieraz całego życia człowieka. Zapóźno na pracę, zapóźno na powagę, zapóźno na zarobek szacunku, zapóźno na powodzenie i szczęście.

Rolniku, tobie wiosna corocznie wracać będzie, lecz dla dzieciny wiosna jedna tylko matki; ileż to posiadamy w sobie siły, ażeby w każdej wiosence rozbudzać co piękne i prawdziwe i dobre. Szczególniej wpajać powinnyśmy do młodocianych serc uczucia patryotyczne, zamiłowanie do ukochanej ziemi ojczystej, zamiłowanie do piosnek ojczystych, porywającym dźwiękiem brzmiących, które to każda matka w chwilach swobodniejszych śpiewać powinna. Piosenki dla życia naszego, czem słońce na ziemi.

A tak, drogie matki, starajmy się, o ile która sił posiada, o dobre wychowanie naszych wiosenek, ogrzewajmy je prawdziwą miłością, a wtenczas i rozum nasz nam wskaże jak je wychowywać mamy.

Wychowywać w duchu religijnym, według idealnego pierwowzoru, jako nam Zbawca pokazał. Jestto praca wielka i mozolna, lecz pojąć nie mogę tej radości i zadowolenia, jakie nas czeka, jeśli szczerze i prawdziwie nasz obowiązek wykonamy.

E. J. Wisła.

PRACA.

Duszą całego wszechświata — duszą nietylko każdego społeczeństwa ale i natury całej jest praca — te słowa powiedział jeden z naszych myślicieli i działaczy społecznych.

Ze zdaniem tem musi się zgodzić każdy myślący człowiek.

Pracuje natura cała, czy to widzialnie, czy niewidzialnie dla naszego oka — pracuje woda, poruszając mnóstwo kół — młynów — fabryk, przenosząc statki z miejsca na miejsce, pracuje wiatr, pracuje śnieg nawet zabierając z powietrza pył i miazmaty szkodliwe, a jednocześnie użyźniając naszą ziemię. Pracuje roślina ciągnąc soki z ziemi i części pożywne z powietrza. Pracuje każde żyjące stworzenie, zaczynając od najdrobniejszego jednokomurkowego aż do najwyżej rozwiniętych zbliżonych już budową do człowieka.

Praca wre w całym wszechświecie.

Łatwy stąd wniosek, że i człowiek wolnym od pracy być nie może — człowiek który chce się uważać za najdosknalszą istotę na

ziemi — a który mając wymagania i potrzeby większe od zwierząt — słusznie też więcej od nich pracować musi.

Człowiek różniąc się od zwierząt duszą nieśmiertelną, rozumem, pamięcią — umiał wyzyskać pracę całej przyrody na swoją korzyść. Na niego pracuje martwa natura, pracują rośliny, pracują zwierzęta — ale on chcąc zużytkować wszystkie te siły, wykorzystać je, musi pracować bardzo gorliwie, musi wytężać wszystkie siły rozumu swego, żeby kierować wszystkiemi temi wysiłkami natury, tak żeby one jemu służyły, a nic mu nie przepadło.

Człowiek bez pracy istnieć by nie mógł, jak nie może istnieć bez oddychania i odżywiania się.

Bez pracy nie mielibyśmy pokarmu ani odzienia — igły ani kolei żelaznej — noża, ani telegrafu — nie mielibyśmy obrazu, ani rzeźby, ani muzyki.

Czy możemy sobie wyobrazić, coby się stało gdyby wszyscy ludzie naraz przestali pracować, lub nie chcąc umierać z głodu, pracowali tylko tyle ile wymaga potrzeba zaspokojenia głodu? — Stanąłby przemysł, zmarnowałyby się wynalazki – zaginęły sztuki piękne, zniszczałby cały dorobek tylewiekowej cywilizacyi.

Praca jest dźwignią postępu, osią, około której obraca się wszystko na kuli ziemskiej, fundamentem, na którym wspiera się cała budowa naszej kultury i cywilizacyi.

Czyż więc możemy przyznać racyę tym, którzy chcą, żeby człowiek pracował jak najmniej lub wcale nie pracował?

Człowiek pracować musi i powinien. Musi gdyż inaczej zginąłby z głodu i chłodu — powinien — bo praca doprowadza go do coraz wyższych szczebli doskonałości i daje mu tyle szczęścia, ile drogą próżniaczego używania nigdy osiągnąć nie jest w stanie.

Człowiek próżniak, jest istotą nieszczęśliwą, nad którą litować się trzeba, bo on nigdy pełni szczęścia nie zazna — jednocześnie pogardy jest godzin, gdyż wyzyskuje pracę natury i społeczeństwa, nic w zamian z siebie za to nie dając.

Pracę człowieka można rozdzielić na dwa wielkie działy -— na pracę duchową czyli umysłową i na pracę fizyczną skierowaną wyłącznie do zaspokojenia materyalnych potrzeb człowieka, a mianowicie: do zaspokojenia głodu, zdobycia mieszkania i odzienia.

W najdawniejszych czasach, kiedy człowiek nie wiele jeszcze odróżniał się od zwierząt, praca jego ograniczała się tylko do zaspokojenia głodu, gdyż żyjące w łagodnym klimacie pewnej okolicy w Indyach, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa pierwszy człowiek na kuli ziemskiej się pojawił i gdzie według podania raj miał się znajdować — o mieszkanie i odzianie troszczyć się nie potrzebował.

Dopiero w miarę rozmnażania się rodu ludzkiego i posuwania ludności coraz dalej w coraz mniej sprzyjające klimatyczne warunki, człowiek został zmuszony pomyśleć o schronisku i okryciu — gdyż niestety Bóg stwarzając człowieka, nie dał mu pierza ani sierści dla ochrony ciała. — Dał mu za to Bóg rozum i zdolność do celowej pracy, żeby wszystko co mu brakuje, umiał sobie zdobyć lub wytworzyć.

Więcej niż połowę wysiłków całej ludzkości pochłania praca około zaspokojenia głodu. Wyrażenie to nie jest ścisłe, gdyż właściwie nie o samo zaspokojenie głodu zabiegamy — gdyby chodziło tylko o to, żeby człowiek zabezpieczył się od głodu, nie bylibyśmy zmuszeni tyle pracy na to poświęcać — ale człowiek chce dobierać sobie pożywienie według smaku — lubi dogodzić swemu podniebieniu. — Nie jest to zarzut — pożywienie, które nam smakuje, przynosi większą korzyść dla organizmu — i jest to pociągiem zupełnie naturalnym, objawiającym się nawet u zwierząt – kot woli ptaka niż mysz — lew chętniej zje mięso człowieka niż hyeny, którą tylko w ostatecznym głodzie pożera. — Jednak nawiasem mówiąc — zwierzę kieruje się instynktem, wybierając co dla niego po-

silniejsze, a więc i zdrowsze — gdy tymczasem człowiek nie zawsze słucha tego instynktu i często dla zdobycia smakołyków szkodliwych dla zdrowia, znaczną część pracy swojej poświęca.

Drugim zabiegiem człowieka jest zabezpieczenie się od zimna i słoty, zdobycie mieszkania, i tu praca nie ogranicza się do starania o dach nad głową, cztery ściany i komin, to jest to, co jest niezbędne, ale człowiek mieszkanie swoje zdobi, jak kto może, czem może, ale zaczynając od najuboższej chaty wieśniaczej, do najwykwintniejszego pałacu, każdy stara się ozdobić swój dom, miejsce swojego pobytu, czyli, można to uznać za wrodzoną człowiekowi, niemal instynktowną potrzebę. Ale znów zdobnictwo i zapewnienie sobie pewnych wygód, pochłania znaczną ilość pracy człowieka.

Trzecim celem pracy jest odzienie. Nie możemy obecnie chodzić okryci skórami jak pierwsi ludzie chodzili, ale w żadnym dziale pracy ludzkiej, nie ma tak nieproporcyonalnych wysiłków dla zdobycia zbytku, w stosunku do rzeczywistych potrzeb człowieka, jak w tym. Nieraz nawet potrzeby ochrony ciała, potrzeby hygieny, kłócą się w gwałtowny sposób ze zbytkiem — z tak zwaną modą.

Bezstronność nakazuje wyznać, że nadużycia w tym kierunku popełniają przeważnie kobiety.

Tym to trzem zabiegom poświęca człowiek cały prawie zapas siły swej i energii i to nietylko w dziedzinie pracy fizycznej ale i umysłowej.

Właściwej umysłowej pracy poświęca zaledwie cząsteczkę swoich wysiłków, t j. tej pracy, w której tylko o ducha chodzi, o zdobycie wiedzy dla wiedzy bez innego pobocznego celu; bo wszak ta część umysłowej pracy człowieka, która ma na celu wynalazki, maszyny i t. p., jest skierowana tylko do materyalnych potrzeb ludzkich.

Więc człowiek pracować musi dla siebie, a jeżeli zgodzimy się jeszcze, że dla postępu ludzkości pracować powinien, to chyba nikt konieczności pracy dla człowieka nie zaprzeczy.

Jeżeli zaś zgodzimy się na to, że praca jest koniecznością dla człowieka — zastanówmy się chwilkę nad tem, jak my pracujemy, my Polacy.

Szczepanowski powiedział: „Galicyanin jada za pół człowieka, ale pracuje tylko za ćwierć człowieka – w Galicyi nie praca i oszczędność, ale żebranina jest najwybitniejszem zjawiskiem“.

Zdaje się, że Szczepanowski choć w części ma racyę, iż szczególniej wśród uboższej ludności i w niektórych okolicach, ludzie odżywiają się źle, a pracują za mało.

Gdyby jednak ludzie zechcieli raz zrozumieć potrzebę, rzetelną potrzebę pracy, gdyby raz przejęli się ważnością traconego na próżno czasu, wystarczyłoby wtedy i na posilne pożywienie i na wygodne i ozdobne mieszkanie i na ubieranie się dostatnio, a po za tem wzrósłby ogólny dobrobyt kraju.

My chcemy bojkotować Niemców, zwalczać ich pracę — ale żeby walka była skuteczna, musimy naprzeciw ich pracy, postawić własną, nie mniej silną, to znaczy spotęgowaną tak na polu pracy fizycznej jak i umysłowej.

Naród pracujący mniej, nie może stawać do walki z pracującym więcej, bo nietylko nie dotrzyma pola, ale ze wstydem cofnąć się będzie musiał, a przytem ten pracowitszy przyswoi sobie cały dorobek kulturalny tamtego leniwszego, wyzyska go zawsze i wszędzie.

Chcąc sobie to dokładniej wyobrazić, zróbmy małe obliczenie. Przypuśćmy, że Niemiec pracuje 300 dni w roku, a Polak który więcej świętuje, tylko 280, liczmy każdy dzień roboczy tylko po koronie, to po upływie roku, Niemiec będzie miał o 20 koron więcej od Polaka, liczmy dalej, jeżeli 3 miljony Polaków i 3 miljony Niemców będą w ten sposób pracować, po roku Niemcy bądą bogatsi o 60 miljonów koron — a po upływie 20 lat Niemcy będą bogatsi o 1.200 miljonów ko-

ron. — Cyfry te są bardzo niskie, bo Niemiec pracując lepiej i dokładniej od Polaka na każdy dzień więcej zarobi.

Dlatego to my jesteśmy narodem tak ubogim, dlatego stoimy niżej od cudzoziemców, dlatego oni nie liczą się z nami, tak jakby to być powinno. — A pomyślmy, gdyby odsetki tylko od tego, cobyśmy mogli zarobić więcej, poświęcić na oświatę, na fabryki, na wyeksploatowanie wynalazków zrobionych przez Polaków, a z których teraz cudzoziemcy całkowitą korzyść wyciągają, jakbyśmy wysoko od razu stanęli.

Ekonomista Koszutski obliczył, że gdyby wziąć ogólną wartość bogactwa każdego kraju, t. j. porachować ileby warte były w całym kraju, wszystkie gospodarstwa rolne, fabryki, kopalnie, koleje żelazne i t. p., i podzielić całą zebraną w ten sposób sumę równo między wszystkich mieszkańców danego kraju, to przy takim podziale, każdy

Anglik otrzymałby	2277	rubli
Francuz „	2070	„
Niemiec „	1300	„
Polak „	445	„

Różnicę zaś majątku przypisuje temu, że Anglik pracuje najwięcej i najlepiej, zaś Polak najmniej i najgorzej.

Inny pisarz na tem samem polu, Kurnatowski, oblicza znów płacę robotnika w każdym z tych krajów; na podstawie jego obliczeń można zestawić takie porównanie, że jeżeli zamożność jednego mieszkańca wynosi

w Anglii	2277,	płaca robotnika	788
we Francyi	2070	„	656
w Niemczech	1300	„	536
w Polsce	455	„	240

Z tego zestawienia widzimy, że im kraj bogatszy, tem zarobek robotnika wyższy — ale musimy przytem zauważyć, że w stosunku do bogactwa kraju u nas robotnicy lepiej są wynagradzani.

Czy wymowa tych cyfr nie jest dostateczną, czy nie powinno nas to skłonić do szerszej pracy na każdem polu? — Czy w imię ojczyzny, w imię ogólnego dobra kraju, w imię wspólności naszych polskich interesów, nie powinniśmy razem wszyscy wziąć się za ręce i pracować ile kto może i jak może — jak komu siły i umiejętność starczą — a wtedy dojdziemy do celu — bo nam Polakom zdolności nie brakuje — tylko wrodzone nasze polskie lenistwo nie pozwala ich wykorzystać i rozwinąć.

Do pracy rozumnej i pożytecznej potrzeba nam więcej oświaty. Im człowiek jest inteligentniejszy, tem bywa pracowitszy, im więcej ograniczony, tem bywa leniwszy.

Twierdzenie to sprawdzić można zarówno na jednostkach, jak i na ludach całych. — Ludy dzikie zwykle są leniwe — żyją życiem zwierząt, i potrzeby mają nie wiele większe od zwierząt. — Dziki człowiek, o ile nie jest głodny, gotów leżeć bezczynnie dzień cały — nieraz woli nawet nie jeść, niż poruszyć się. Ale co jest charakterystyczne — niech zagra muzyka — niech zabębni bębenek, zerwie się odrazu i będzie tańcował aż do ostatniego zmęczenia, aż do zupełnego wyczerpania sił. Podobne wypadki można obserwować u ludzi ograniczonych a leniwych, choć my przecież do cywilizowanych ludów się liczymy. Człowiek inteligentny, będzie równie ochoczy do pracy jak i do tańca i wybierać zawsze ten kierunek pracy, w którym najpożyteczniejszym być może.

Rozpowszechnienia oświaty potrzeba nam przedewszystkiem — trzeba żeby ludzie, a zwłaszcza młodzi kształcili się. — Trudno już wymagać, żeby człowiek stary, zwłaszcza jeżeli mało pracował całe życie, na starość uczył się pracować — ale ludzie w sile wieku, ale młodzież, która zawsze garnie się do wszystkiego co dobre i piękne — powinni dać początek, powinni pracować nad sobą — rodzice nad dziećmi — przyjaciele nad przyjaciołmi — i nic nie zaniedbać, niczego nie przeczuje, bo cel pracy mamy tak wspaniały do osiągnięcia — celem tym jest zdobycie przewagi nad odwiecznym wrogiem i pełny tryumf naszej ojczyzny. *K. P.*

WIEŚCI ZE ŚWIATA.

Paragraf 7 przyjęty! Paragraf siódmy projektu ustawy o stowarzyszeniach będący nowem ogniwem w łańcuchu „praw“ wyjątkowych przeciw Polakom w Prusach, został przez parlament niemiecki przyjęty, dnia 4-go kwietnia 1908 r. o godzinie 8 wieczorem. Dzień to historyczny w dziejach tego parlamentu i Rzeszy niemieckiej, lecz dzień czarny!

Korespondencye ze Śląska pruskiego.

Zabrze, dnia 6 kwietnia 1908 r.

Szanowni Rodacy i Rodaczki!

Znów cios ugodził w społeczeństwo polskie pod zaborem pruskim. Dnia 4 kwietnia została uchwalona w parlamencie niemieckim ustawa o stowarzyszeniach, zakazano więc używać języka polskiego na zebraniach i w stowarzyszeniach. Jest to okropny i straszny czyn hakatystów pruskich. Niedawno przeszła ustawa o wywłaszczeniu i znów nowy ukuli dla Polaków cios. Czyż już z tą ustawą skończą się cierpienia nasze? Czy Hakatyści wymyślą coś nowego jeszcze? O niezawodnie, jeszcze różnych użyją środków, by nas zgnębić duchowo i materyalnie, a my cóż na to? ramię do ramienia! Cierpmy, bo widać nikt tu już nie pomoże, ulga tylko z góry, nadzieją tylko w Bogu.

Pamiętajmy, że pycha musi być ukaraną, a może i niedługo. Dalej chciałem wam opisać kochani Rodacy w Galicyi nasze powodzenie w fabrykach na Ślązku. Pewnego dnia w południowej godzinie siedzimy sobie z kolegą i rozmawiamy sobie o tych czasach naszych, jak to pruski rząd prześladuje wszystko co nie jest niemieckie, wtem przylatuje do nas jakiś żółty Gotlieb i bełkocze po niemiecku, że tu nie wolno po polsku mówić, bo tu jest „Deutschland“, o mało go nie uderzyłem w p..., lecz cóż dobrego zrobiłbym, lepiej milczeć bo im wszystkim wszystko wolno, bo przecież powiedział pewien Niemiec w parlamencie: „My rozkazujemy, a wy macie słuchać!“

Daleko bylibyśmy zaszli, więc musiałem ustąpić, nie będę dalej opisywał, bo za długo byłoby tego, tyle tylko wam piszę kochani Rodacy w Galicyi, żebyście wiedzieli jak my musimy znosić od Niemców na swojej własnej ziemi rozmaite obelgi i przykrości. Chociaż wy tam nie macie kopalń i fabryk i zarobku, ale macie wolność, której my tak pragniemy. O jakże wam nieraz zazdrościmy, że nie jesteście zalani tą kulturą pruską, a wy Bracia, czy może wolelibyście być pod toporem Hakatystów? Dziękujcież Bogu, że wam nie przypadła ta straszna walka o język, o ziemię, jak nam w udziale. Dlatego pracujcie nad oświatą, kiedy macie ręce wolne, bo my nawet zawołać nie możemy, że nam się krzywda dzieje, musimy być cicho, że nas z ojczystej wyganiają ziemi i gnębią jak niewolników. Bądźcież szczęśliwi że macie swobodę i pracujcież nad uświadomieniem własnem żebyście kiedyś nie żałowali, że czas zmarnowany.

Wspomnijcież czasem o nas i pomódlcie się, aby już to jarzmo długo nie trwało, które nas już tak dawno ciśnie. Kończąc te wyrazy, kreślę się z szacunkiem

Rodak ze Śląska.

Walka z alkoholizmem.

Na niedzielnym wiecu dnia 2. lutego b. r. w Krakowie, uchwalono wnieść do sejmu krajowego petycyę, żądającą zamykania szynków w niedziele i święta. Petycya ta ułożona przez znanego pisarza p. Adama Szymańskiego, ma następujące brzmienie.

Wysoki Sejmie!

Jedną z najstraszniejszych plag ludzkości jest pijaństwo, a rzeczą powszechnie znaną, że plagi tej nie usuwa nawet powszechna oświata. Przykłady takich społeczeństw jak:

szwedzkie, norweskie, fińskie, niektórych kantonów Szwajcaryi i wielu stanów Ameryki Północnej pouczają, że do wytępienia pijaństwa niezbędnem jest oprócz nauczania zgodne współdziałanie całego społeczeństwa, wszystkich jego instytucyi społecznych i rządowych i całego ustawodawstwa.

Jeżeli dziś niema na całym świecie człowieka myślącego, któryby z dumą nie wskazywał na wymienione wyżej społeczeństwa, jako na wzory, będące prawdziwą chlubą ludzkości, to cóż my w tym względzie możemy powiedzieć o sobie? Z rumieńcem wstydu musimy przyznać: nic. Nic nie zrobiono u nas dla zwalczenia strasznego nałogu, trapiącego najuboższe sfery ludności... W niepamięć poszły palące słowa Staszica, zaginęły szlachetne usiłowania X. Antoniewicza i bractw wstrzemięźliwości z przed roku 63 i kraj ubogi, w którym miliony ludności zależą od plonu dziennej pracy najemnej, patrzy obojętnie, jak setki tysięcy ludzi, najciężej pracujących i najciemniejszych, we święta i niedziele, przepijając cały swój zarobek, pogrążają w piekło niedoli setki tysięcy rodzin, od tych pracowników zależnych. Najstraszniejszym podszeptom rozpusty i zbrodni stają tu wrota otworem, a my, ku ohydzie własnej, niepomni groźnych słów Chrystusowych o gorszeniu maluczkich, nie czynimy nic, aby wyrwać nieszczęsnych z tych prawdziwych domów pogrzebowych ubogiego ludu!..

Wysoki Sejmie! — Stało się od pierwszego rozbioru kraju świętym obyczajem i jest dziś dla nas nakazem moralnym, że wszystkie ciosy, które na naród nasz spadały, przyjmowaliśmy, dążąc w miarę sił i rozumienia swego do poprawy własnej. Tak stanęła wiekopomna Komisya Edukacyjna, tak zniesionem — poddaństwo ludu, wyjątkowe ustawy dla żydów, tak zaczętą — praca nad podniesieniem ludu do godności obywatelskiej.

Tej zasadzie, w której tkwi wielka myśl naszych ojców i dziadów, bo w niej moc i niezłomna siła i przyszłość nasza i z niej największa groza dla wrogów naszych, nie wolno się nam nigdy sprzeniewierzać. W chwili więc, gdy nowy cios godzi w otwartą pierś bezbronnych, obowiązkiem jest przodującym w narodzie przypomnieć ów wielki nakaz ojców.

Wysoki Sejmie! — W imieniu milionów kobiet i dzieci, które wskutek pijaństwa ich ojców, mężów i braci, pijaństwa najbardziej w dni świąteczne wzrastającego, giną w nędzy, zapełniają więzienia, szpitale i domy rozpusty, prosimy o uchwałę, którą kraj cały spotka z głębokim zadowoleniem, uchwałę, nakazującą bezwzględne zamykanie szynków we wszystkie święta i niedziele, od godziny 6-ej wieczór w sobotę do godziny 6-ej rano w poniedziałek".

Uprasza się Szanowne Czytelniczki i Czytelników „Przodownicy", aby zgłaszali się po arkusze, celem zaopatrzenia ich podpisami jaknajliczniejszymi do p. Adama Szymańskiego, Kraków.

DZIAŁ GOSPODARCZY

Przedświąteczne porządkowanie.

Zapobiegliwa gospodyni krząta się przed świętami z podwójną gorliwością, przejęta tą ambicyą, by żaden zakątek jej królestwa nie powstydził się pełnego światła wiosennego. Otwiera więc na oścież okna, by balsamiczne powietrze pełną do mieszkania napłynęło falą i okrywszy się wielkim fartuchem i zakasawszy rękawy zabiera ochoczo do dzieła.

Praca jej jednak nie powinna być gorączkową krzątaniną, niespokojnem zaczynaniem tego i owego, niezmordowaną bieganiną po całem mieszkaniu — bo przytem i ona sama nuży się, męczy i denerwuje i sługa zadąsana i przepracowana i domownicy niezadowoleni, bo nie mają cichego kącika, ni chwili spokoju. — Trzeba sobie zawsze dobrze roz-

ważyć co zrobić najpierw, a co może zaczekać i być dokonane później, co jest ważniejszem, a co mniej ważnem, co możemy sami zdziałać, a co można i powinno się zostawić do zrobienia służącej. Nie potrzeba cały dzień bezustannie, niby bezduszna machina być w ruchu, lecz od czasu do czasu kwadransik wypocząć i słudze dać też sposobność do chwilowego odetchnięcia, a po takim przestanku jak odmłodzeni, ze świeżemi siłami zabierzemy się do domowych czynności, a zobaczymy, że wszystko nam o wiele raźniej pójdzie i że o wiele prędzej niejedno zrobimy, do czegobyśmy znużeni, skwaszeni, dwa razy tyle potrzebowali czasu.

Z wielkiem porządkowaniem wiosennem nie należy czekać aż do Wielkanocy, gdyż wówczas zakupywanie i sporządzanie świątecznych zapasów pochłania nas zupełnie — i zbyt uciążliwem i nużącem byłoby wtedy równoczesne, gruntowne sprzątanie.

Mieszkanie przyprowadzamy w ten sposób do ładu.

Pościel, zdjąwszy z niej powłóczki, wynosi się na ganek lub podwórze, trzepie dobrze i wietrzy przez parę godzin, najlepiej na słońcu. Przez ten czas wyjmuje się sienniki do łóżek, które się również trzepie i i okurza — a łóżka same rozkłada się zupełnie i czyści, pędzlując wszystkie szczeliny i zawiasy białym karbolem, będącym skutecznym środkiem przeciw nieproszonemu robactwu.

Ściany i sufity zmiata się dokładnie szczotką owiniętą w zwilżoną, a następnie dobrze wykręconą ścierką; sprzęty wynosi się przedtem do innej izby lub też wysuwa się je na środek i przykrywa.

Następnie oczyszczamy drzwi, ramy i gzemsy okien wodą z salmiakiem (12 części wody, 1 część salmiaku) zmywamy czystą zimną wodą i wycieramy do sucha; mydlin do tego celu używać nie można, gdyż psują pokost. Poczem myjemy szyby letnią wodą zmieszaną z kilku łyżkami spirytusu, osuszamy sarnią skórką, a będą błyszczały jak kryształ.

Teraz zamiata się podłogę, szoruje gorącą wodą, w której rozpuszcza się nieco mydła i sody i spłukuje zimną. Możliwe szpary podłóg, w których lubią się gnieździć różne owady i w których zbiera się brud trudny do wydobycia, zalepiamy kitem, zrobionym z wapna, kazeiny i wody.

Wyścielane meble wynosi się z izby, trzepie trzepaczką obszytą suknem lub kawałkiem materyi wełnianej, dobrze szczotkuje i w zagłębieniach zapuszcza się zacherlinem w celu ochrony od moli. Sprzęty drewniane, jeżeli są politurowane, wyciera się dobrze, zmywa delikatnie gąbką letniemi mydlinami, a po wyschnięciu naciera gałgankiem zmoczonym naftą. Meble z orzechowego drzewa oczyszcza się tak samo, tylko zamiast naftą, naciera się je mocno mieszaniną, składającą się z łyżki oliwy francuskiej i łyżki wina czerwonego.

Z mebli matowych, jasnych, usuwa się plamy za pomocą chropowatego papieru, służącego do czyszczenia noży i naciera bruneliną.

Dery, wełniane rzeczy wietrzy się, trzepie i obsypuje trocinami zwilżonemi słoną wodą i octem, po godzinie zmiata się je starannie miotełką ryżową, lub szczotką a będą jak nowe — lepszy to sposób, niż czyszczenie kiszoną kapustą.

Przed omiataniem ścian zdejmujemy obrazy.

Zwierciadła ociera się z kurzu i nakłada ciastem utworzonym z kredy i spirytusu, które się po chwilowem leżeniu ściera miękką ściereczką. Obrazy olejne czyści się, nacierając je lekko ziemniakami, które się wpierw obiera i kraje w plasterki, jeżeli jeden plasterek już zbrukany, zastępuje się go świeżym, poczem się takowe ściereczką obciera — Dobrze też jest umieścić na odwrotnej stronie obrazu w każdym rogu kawałek korka, by malowidło, dotykając się ściany, nie psuło się od wilgoci. Ramy pozłacane obmywa się gąbką, zamaczaną w winnym occie i spłukuje letnią wodą, nie ocierając aż same przeschną.

Teraz trzeba oczyścić klamki u drzwi, okien i pieców, metalowe zawiaski i ozdoby na meblach, figurki porcelanowe. Dobrą do tego pastę można sobie zrobić, mieszając ciepły łój z równą ilością oliwy, czterema częściami sproszkowanego pumeksu i jedną częścią kredy. Po wystygnięciu naciera się tą pastą metalowe rzeczy, wyciera dobrze miękką, suchą szmatką i trze suknem aż do połysku. Porcelanowe cacka okurza się dokładnie pióreczkiem, wkłada do letnich mydlin na pół godziny, następnie spłukuje zimną wodą i lekko wyciera płócienną szmatką.

Nakrzątawszy się w ten sposób, ujrzymy z wielkiem zadowoleniem, że nasze mieszkanie schludne jak pudełeczko, a wszystko w około błyszczy się i lśni aż miło.

Utrzymywanie porządku jest obowiązkiem każdej gospodyni domu, którą do tego powinna skłaniać nie tylko gospodarność, lecz także wymogi piękna i zasady hygieny; gdyż nieład, kurz pleśń wokoło nie świadczą o nas zbyt pochlebnie, a nadto czystość jest pierwszym i koniecznym warunkiem zdrowia.

Wędzenie szynek, kiełbas, lub innego mięsiwa bez dymu. Jeżeli ktoś lubi wieprzowinę wędzoną, a nie ma własnej wędzarni i trudność mu sprawia wysyłać gdzieś do wędzenia, można mięsiwu nadać smak wędzonki w następujący sposób:

Na 1 garniec wody miękkiej, bierze się pół garnca sadzy drzewnej i gotuje pod przykrywą, aż woda nabierze koloru mocnej kawy. Odstawia się i czeka, aż wystygnie i sklaruje się. Następnie cedzi się płyn przez sitko, powoli, żeby od spodu nie zamącić.

Soli się ten płyn, biorąc na taką ilość, czubatą łyżkę soli, a następnie zalewa mięsiwo, uważając, żeby całkowicie było przykryte.

Szynka musi w tem moknąć 24 godzin; słonina, kiełbasa, lub t. p. 4 do 6 godzin. Po wyjęciu obsusza się, najlepiej w cieniu na wietrze.

Kolor powinna mieć szynka ciemno-żółty. Jeżeli jest wszystko około tego starannie zrobione, przechowuje się mięsiwo dość długo, w każdym razie nie tak długo, jak wędzone w dymie.

Zużytkowanie żółci. W żółci piorą się znakomicie wszystkie materjały wełniane ciemne, zwłaszcza czarne. Również dobrze piorą się pończochy czarne i ciemne.

Koronkom czarnym, woalkom zrudziałym, przywraca żółć dawną czarność i nadaje połysk.

Do prania żółć rozpuszcza się w wodzie, w proporcji: jedna żółć na garniec wody. Woda musi być miękka i ciepła. Po przepraniu w żółci, trzeba dobrze wypłukać w dużej ilości miękkiej cieplej czystej wody i jeżeli to jest materyał wełniany, powiesić bez wyżymania.

Żółć służy również do wywabiania tłustych plam, nawet zastarzałych, jak np. na kołnierzach od męskich ubrań.

Chcąc taką plamę wywabić, smaruje się ją żółcią samą bez wody i pozostawia przez pewien przeciąg czasu, aż tłuszcz się rozpuści. Następnie zmywa się to miejsce, po kilka razy, szczotką umoczoną w miękkiej ciepłej wodzie. Jeżeli tłusta plama była świeżo zrobiona, można po natarciu żółcią od razu spłukiwać.

Żółć zbyt długo przechowywać się nie da, ale gdy potrzebna, można zawsze zamówić u rzeźnika.

Wszystko jedno, czy żółć będzie wieprzowa, czy wołowa, czy z jakiegokolwiek innego zwierzęcia. *K. P.*

Baby zwyczajne. Wziąć garniec mąki, wygrzać i przesiać.

Rozrobić litrem ciepłego mleka, osobno rozmącić w kwaterce mleka ciepłego 10 deka drożdży, dobrze wymieszać i zostawić żeby wyrosło.

Gdy już dobrze wyrośnie, wlać ubitych żółtek 10 do 30, ile kto chce i ma, jeżeli jaj mniej niż 15, ubić osobno białka od nich, i pianę także użyć do ciasta. Cukru miał-

kiego przesianego pół kilo, jeżeli kto lubi słodsze, to można wziąć więcej. Masła $^{1}/_{4}$ kilo, sklarowanego. Wyrabiać ciasto przynajmniej godzinę, postawić, a gdy tylko zacznie rosnąć, kłaść w formy wysmarowane masłem i wysypane tartą bułką. Ciasta nakładać jedną trzecią formy, gdy wyrośnie drugie tyle, wsadzać w piec — w piecu powinno dorosnąć do pełności. Gdy baby duże, powinny być w piecu całą godzinę, mniejsze trzymać krócej.

Wsadzając do pieca, po wypróbowaniu go dokładnem, na spodzie otrębami, u góry papierem — dobrze jest przykryć każdą formę papierem, gdyż często baby od góry się przypalają.

Baby parzone. Garniec przesianej mąki sparzyć na niecce litrem gotującego się mleka. Mleko lać powoli, ciągle mieszając. Jeżeli mąka bardzo sucha, trzeba mleka więcej. Gdy dobrze wyrobione, wziąć 14 deka drożdży rozmąconych w kwaterce mleka, wymieszać dokładnie i postawić w ciepłem miejscu. Jak dobrze wyrośnie, dolewać lub dosypywać kolejno 1 kopę ubitych żółtek, 1 kilo cukru przesianego i 4 kwaterki sklarowanego masła, jeżeli masło nie solone, dosypać małą łyżeczkę soli, gdy solone — sól od masła wystarczy. Jeżeliby ciasto było za rzadkie, można dosypać mąki przed wlaniem masła, po wlaniu masła już nie można.

Wybijać ciasto przynajmniej godzinę. W ostatniej chwili przed zakończeniem wybijania wsypać utartej wanilii — usiekanej skórki pomarańczowej — lub dodać jakiego olejku pachnącego, specyalnie na ten cel kupionego, można tu wsypać $^{1}/_{4}$ funta drobnych rodzenków poprzednio obranych, opłukanych i wysuszonych. Wkładać do form, pieca przypilnować tak jak podano w poprzednim przepisie. Tylko baby parzone, jako znacznie delikatniejsze potrzebują znacznie więcej starania i uwagi. Przedewszystkiem strzedz je od wszelkiego wstrząśnięcia i potrącenia, gdyż oklapną w środku i będą mieć zakalec.

Chcąc żeby babki były dłużej świeże, trzeba je po wyjęciu z formy i zupełnem dostudzeniu, napowrót włożyć i w formie trzymać, a nie będą wysychać. Nawet napocząwszy babkę, można po ukrajaniu, resztę wpuścić do formy.

Placki. Przesiać garniec mąki pszennej, z tego połowę rozrobić 3 kwaterkami mleka ciepłego i 6 deka drożdży rozmąconych w kwaterce mleka. Gdy podrośnie, wziąć 10 jaj, ubić osobno żółtko, osobno białko, 1 funt cukru, kwaterkę masła, łyżeczkę soli i wyrobić to wszystko dodając kolejno, do wyrośniętego ciasta, do którego dodać najpierw pozostałe pół garnca mąki. W ostatniej chwili dodać czegoś dla zapachu i dosypać rodzenków. Ciasto można wybijać trochę mniej niż godzinę. Gdy podrośnie, rozciągać ciasto na blachach wysmarowanych masłem. — Przed wsadzeniem do pieca, posypać rodzenkami i uszatkowanemi migdałami i posypać cukrem.

Wsadzając do pieca, wszystkie blachy poprzykrywać papierem, żeby się nie przypaliły.

Gdy piec dobrze dogrzany, czasem w 20 minutach już są upieczone.

Placek z serem. Na zwykłe drożdżowe ciasto, takie jak na placki, lub jeszcze lepiej, jak na baby, przed wsadzeniem do pieca nakładać następującą massę: Wziąć 1 kilo sera niezbyt mocno ogrzanego a dobrze wyciśniętego, utrzeć w donicy. Potem wbijać kolejno 6 żółtek i 3 białka. Włożyć łyżkę czubatą świeżego masła i wsypać funt cukru miałkiego, gdyby było za gęste, dodać łyżkę lub 2 bardzo gęstej śmietany. Rozcierać w donicy póki się jednolita massa nie utworzy. Wsypać garść drobnych rodzenków i usiekanej pomarańczowej skórki.

Sera powinno być grubiej na placku, niż ciasta. W piecu trzymać dłużej niż zwykłe placki, ale po wierzchu przykryć podwójnym papierem.

Można też najpierw upiec sam placek bez sera, a dopiero po wyjęciu z pieca nałożyć na niego massę serową i wstawić na kwadrans do pieca.

Placek z makiem. Na zwykłe ciasto, takie jak na baby, nakładać następującą massę: Wziąć kwartę maku sparzonego lub moczonego 12 godzin, uwiercić w donicy, dodać 3 całe jaja, pół funta cukru, trochę masła niesolonego i kilka usiekanych migdałów. Dobrze rozetrzeć wszystko razem, i nakładać na cieniutko warstewkę ciasta, przed samem wsadzeniem do pieca.

Mazurek makowy. Wziąć kwartę maku, sparzyć i uwiercić w donicy (w makutrze). Dodać kwartę mąki, 1 funt cukru, 1 funt masła, i 6 całych jaj. Wygnieść to wszystko razem doskonale na stolnicy, i rozciągać cienko na opłatkach. Wsadzać do pieca przestudzonego, najlepiej po wyjęciu placków. Przed wsadzeniem do pieca posmarować jajkiem.

Mazurek z kruchego ciasta. Wziąć $1/_2$ funta mąki, $1/_4$ funta masła, $1/_4$ funta cukru, 2 żółtka i jedno całe jajko, wygnieść na stolnicy, rozwałkować, układać na opłatkach i upiec w piecu po plackach.

Zastawienie stołu do święconego. Przykryć stół najbielszą i najcieńszą bielizną jaka jest w domu -- rozciągnąć równo po stole, żeby nie było fałdek lub zagięć. Ustawiać na stole najwyższe przedmioty środkiem stołu, niższe ku brzegom. Na samym środku ustawić najwyższą babę, na której wśród zieleni, powinien być umieszczony baranek.

Na stole konieczne jest jajko, ugotowane i obrane, chleb, sól, mięsiwo, masło i jakikolwiek napój z butelką odkorkowaną, zresztą każda gospodyni stawia co ma w domu i na ile ją stać.

Gdy już wszystko na stole ustawione, powtykać w każdą sztukę zielonych gałązek brusznic, lub bukszpanu, stół zaś cały przybrać można długiemi zielonemi gałęziami widłaku, przewijającemi się wśród ustawionych na stole talerzy z jadłem, można je również upiąć na obrusie i z boku stołu, tylko nie spuszczać ich niżej, niż spada obrus.

Jeżeli kto ma ładne 2 doniczki kwitnących kwiatów, ozdobi stół jeżeli je w 2 końcach ustawi, szczególniej, jeżeli samą doniczkę okręci kolorową bibułką.

W wielu parafiach jest zwyczaj, iż jadło do święcenia przywożą lub przynoszą przed kościół, lub też znoszą do jednego gospodarza i tam ksiądz przyjeżdża święcić. Jeżeli taki zwyczaj — ustawia się jadło w koszyku, płaskim a szerokim, wyłożonym też czystą białą serwetą, a koszyk równie jak stół można przybrać zielonemi gałązkami, widłakiem, a nawet wstążkami różnokolorowemi lub kwiatami z kolorowej bibułki, które wiele dziewcząt bardzo zręcznie wyrabia. *K. P.*

ROZMAITOŚCI.

MAŁE RĄCZKI MAŁE!

Małe rączki małe,
Ale nie próżnują
Nie!...

Jak umieją pomagają
Sprzątną, myją, zamiatają...
Nic nie robią źle!...
Nie! nie! nie!

Małe rączki małe
Lecz pracują pilnie
Tak!...

Że w izbie i w komorze
I w ogródku i w oborze
Jest z ich pracy znak,
Tak! tak! tak!

Małe rączki małe
Pożyteczne bardzo
Są!...

Bo lenistwo ich nie plami
Bo nie bawią się figlami
Matce pomódz chcą
Chcą! chcą! chcą!

Małe rączki małe,
Lecz pracują chętnie
Już...
Małe dziecko pokołysze
I zadanie wnet napisze
Któż nie pragnie tego Któż!
Już! już! już!

Małe rączki małe,
Ale nie leniwe
Nie!..
Każdy cieszy się i chwali,
Że pracują pilnie mali,
Nie zasmuci matka się
Nie! nie! nie!

Jadwiga z Łobżowa.

Bezrobocie w Ameryce. Centralne biuro syndykatów robotniczych ogłasza, że obecnie jest w Stanach Zjednoczonych 4,750.000 robotników bez zajęcia.

Statystyka zesłańców na Sybir. Według świeżo ogłoszonych dat statystycznych rosyjskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, na początku 1907 r. było na Syberyi 75.963 zesłańców, z których zbiegło 37.740; w początkach roku bieżącego liczba zesłańców wynosi 74.275.

Żywcem pogrzebany. Sąd okręgowy w Mińsku w Rosyi wydał przed kilku dniami wyrok w strasznej sprawie. Chłopi uważali pewnego obłąkanego za nogi do końskiego ogona i powlekli nieszczęliwego przez 6 wiorst do sąsiedniego lasu, gdzie go żywego jeszcze zagrzebali do ziemi. Trzech zbrodniarzy skazano na dożywotni Sybir, dwóch na 5 lat, a jednego na 8 lat Sybiru.

Krwawa walka o pracę. Przy budowie gmachu Opery w Filadelfii, gdzie obecnie znajduje się 40 tysięcy robotników bez pracy, pragnęło znaleść zajęcie mnóstwo robotników, którzy otoczyli biuro przedsiębiorstwa budowy. Było ich około 5.000 przeważnie Włochów. Gdy nadciągnęła znaczn grupa Murzynów, szukających pracy, Włosi rzucili się na nich ze sztyletami, przeciw którym bronili się Murzyni laskami. Podczas walki zginęła lub doznała ciężkich ran znaczna liczba Murzynów, po stronie Włochów było 12 rannych. Policya rozpędziła walczących, ale krwawe starcia powtarzały się przez cały dzień.

Praca dzieci. Wiele potu wylewają w Ameryce nieletni pracownicy na różnych polach działalności robuczej. Praca dzieci jest tam bardzo często jedyną podporą owdowiałej matki, albo ojca-kaleki. Niejednokrotnie spotyka się tam dwunastoletnich robotników, zajętych pracą ciężką nawet.

Dzieci rozwożą i roznoszą dzienniki, dzieci sprzedają gazety, wynajmują się na posłańców itd. To samo dzieje się w Anglii. W r. z. nie skończywszy szkółki londyńskiej, puściło się na miasto dla szukania chleba 25.000 dzieci; 10.000 zostało posłańcami i roznosicielami, 3.500 uczniami w sklepach; 2.060 rozproszyło się po Londynie itd. Zarobek tych dzieci wynosi od 75 ct. do 1 złr. 50 ct. tygodniowo.

Robotnik dorosły pracuje 48 godzin tygodniowo, od godz. 7 rano do 5 po południu, zwykle z godzinną przerwą na obiad. Dzieci pracują około 40 godzin tygodniowo, jeżeli się zaś zważy stosunek sił robotnika i dziecka praca tego ostatniego budzi głębokie politowanie. Najstraszniejszy los dzieci bywa w kopalniach węgla, gdzie oddychają powietrzem zepsutem i pędzą żywot okropny od lat najmłodszych.

Wiktor Hugo (pisarz francuski) powiedział, że kto widział cierpienie mężczyzny, nic jeszcze nie widział; powinien zobaczyć cierpienie kobiety. Można rzecz silniej: kto widział cierpienie kobiety, nie widział jeszcze wszystkiego; powinien zobaczyć cierpienia dzieci!

Nasze dzieci.

— Wstydź się, Józiu — ja gdy miałam tyle lat co ty, to nie umiałam kłamać.

— A od kiedy mama zaczęła kłamać?

Trafił swój na swego.

Landwerzysta: Panie kapitanie, proszę o dwa dni urlopu: żona mi pisała, że bardzo chora, żebym przyjechał co z dziećmi rozporządzić.

Kapitan: To dziwne.. bo właśnie wczoraj otrzymałem list od waszej żony, w którym prosi, żeby męża zatrzymać przy wojsku, albo przynajmniej nie dawać mu urlopu, bo awanturnik, pijak i skoro się w domu pokaże, bije żonę i dzieci.

Landwerzysta: A to zabawne! Więc pan kapitan przez ten list nie da mi urlopu?

Kapitan: Wobec tego... nie dam!

Landwerzysta: Panie kapitanie... jabym coś powiedział, ale pan kapitan się nie rozgniewa?

Kapitan: Mów śmiało! o co chodzi?

Landwerzysta: Chciałem tylko skonstatować, panie kapitanie. że tu przy tym raporcie stoi dwóch potężnych kłamców... a jeden z nich to ja! Bo ja, panie kapitanie, wcale nie jestem żonaty.

Złote ziarna.

Kto mało przebacza, mało będzie miał przebaczone; kto wiele daruje, wiele jemu daruje Pan w niebie.

Miłosierdzia, jakiego dostąpimy, będzie tą miarą mierzone, jakiej używaliśmy świadcząc je drugim.

Oddać obelgę, za obelgę, to zemsta ludzka; kochać tego, co nas pokrzywdził, to zemsta boska.

Wierszyki o gospodarstwie.

Gdy się chłop w karczmie podpoi, żyd go z wszystkiego odoi.

Gospodarza w jego domu, słuchać nie wadzi nikomu.

Gospodarzowi bez żony, świat cały obmierziony.

Gdzie gosposia gładka, wszystko idzie jak z płatka.

Gospodyni dobra, trzy węgły domu utrzymuje, a gospodarzowi dość gdy tylko przy jednym pracuje.

Słabe w gosposi nadzieje, co śpi jeszcze gdy kur pieje.

Kto za często odpoczywa, ten kieszeni nie nadziewa

Co Bóg przeznaczy. człek nie przeinaczy.

Kto się rządzi cnotą, ten nie jest sierotą.

Przeciwko molom w szafach, używa się następnego środka na wiosnę: szafry i kufry wysmarować wewnątrz terpentyną, oprócz tego na talerzu postawionym na dnie szafy, położyć bibułę i co parę tygodni skrapiać ją olejkiem anyżowym.

Plamy rdzawe najlepiej wywabiać z płótna solą cynkową, rozpuszczoną w wodzie. Po zmyciu plam wypłukać płótno letnią wodą, a plamy znikną zupełnie.

Nogi kur potrzebują też starannego obejścia, bo gdy zostaną zanieczyszczone błotem, mogą się z czasem wywiązać najrozmaitsze choroby, między innemi zwapnieniu nóg, dlatego nogi należy zmywać od czasu do czasu letnią wodą a potem natrzeć oliwą.

Koniecznem jest, aby banty w kurniku były gładkie, okrągłe i dostatecznie szerokie.

Pypeć u kur. Chorobę tę poznać łatwo po tem, że kury zakażone tem cierpieniem są smutne, z nastroszonem pierzem, wydają ze siebie szczególny głos, jakby pips, od czego czego też pochodzi nazwa pypeć.

Pypeć powstaje wskutek zakatarzenia błon śluzowych w jamach dziobowych i gardłowych.

Język wygląda zazwyczaj, jakby przyschnięty, biały i prawie zawsze na końcu zauważyć można twardą, serowatą masę, którą zwykle zdziera się niemiłosiernie scyzorykiem lub szpilką i wyrządza się kurze niepotrzebny ból.

Zamiast zdzierania, miejsce dotknięte chorobą należy pędzlować 2% roztworem lapisu (kamienia piekielnego) a całą jamę dzióbową wypędzlować rozczynem gliceryny, albo też okiem cytrynowym. Karmę należy podawać miękką, jak ryż, jęczmień gotowany, bułkę rozmoczoną w czerwonem winie i t. p. Za napój podawać kurom przychodzącym do zdrowia, mleko kwaśne. Leczyć należy, a to tembardziej, że to choroba zakaźna.

Choroba ta występuje zwykle w czasie pierzenia się kur, lub też u świeżo sprowadzonych, niezahartowanych, szlachetnych ras; dlatego w tym czasie należy strzedz kury od zaziębień i dostarczyć im ciepłego i suchego pomieszczenia.

O właściwości mleka. Mleko, będąc jednym z najzdrowszych pokarmów, ma jednak przytem te własności, iż bardzo chciwie wchłania w siebie wszelkie wyziewy i nieczystości, zarodki zaraźliwych chorób i przykrą woń.

Rzecz to dowiedziona, że mleko trzymane przez jakiś czas po wydojeniu w oborze, tak wciąga w siebie woń i parę tam się rozchodzącą, że nietylko zapach ten w sobie zatrzymuje, lecz udziela go masłom i serom, które z niego wyrabiają. W miejscach wilgotnych, gdzie pleśń osiada ściany i sprzęty i gdzie czuć stęchliznę, mleko bardzo szybko kwaśnieje, bo niewidzialne zarodki pleśni unosząc się w powietrzu, wpadają w mleko i przyczyniają się do kiśnięcia. Masło i ser wyrabiane z takiego mleka, zachowują też przykrą woń stęchlizny i w krótkim czasie się psują.

Należy uważać, aby po wydojeniu mleko rychło przenieść w miejsca suche i bezwonne.

Jak dochować się dobrej krowy. Dochowanie się dobrej krówki zależy od dobrego pielęgnowania jałówki, a osobliwie w ostatnich sześciu tygodniach przed ocieleniem, w którym to czasie trzeba starać się osobliwie o rozszerzenie żył mlecznych. Daje się przez ostatnie sześć tygodni każdodziennie jednę miarkę żyta jarego, albo jęczmienia albo jarej pszenicy. Do tego przymieszać ćwieć funta mieszaniny z kminku włoskiego, kopru i anyżu, warzy się wszystko w garncu i daje się jałówce rano w południe i wieczór. Kosztuje wprawdzie taka karma w sześciu tygodniach dosyć dużo, ale już żyły mleczne rozprzestrzeniają się i nabrzmiewają tak, że jałówkę często już przed ocieleniem doić potrzeba. Koszta nałożone opłacą się stokrotnie, bo tak wychowana jałówka zostaje na zawsze dobrą krową. Kiedy krowa mleko utraci, wtedy każdym razem pomoże podawanie owej karmy przez parę dni.

Milioner chłopski. We wsi Mirabel, w departamencie Dordogne, umarł w tych dniach stary wieśniak nazwiskiem Lavergne, pozostawiwszy majątek, oszacowany przez sąsiadów na kilkanaście tysięcy franków. Komisya sądowa stwierdziła jednakże fakt wcale nie spodziewany, że mianowicie Lavergue pozostawił trzy miliony gotówką i w pewnych papierach wartościowych. Skarby te znaleziono w sienniku i rozmaitych innych schowkach. Lavergue, co się na wsi bardzo wyjątkowo zdarza, był bezżenny. Z domu prawie nigdy nie wychodził, chyba za interesami, a żył tylko ze swoją służbą.

Szybki sposób tuczenia kur. Bardzo szybko tuczącą karmą jest dla kur pokrzywa. Liście jej i nasienie suszy się, tłucze na proszek i z dodatkiem mąki żytniej, otrąb i pomyj zagniata na ciasto. Małe kawałki takiego ciasta daje się jako karmę, obok trochę owsa; przytem nie powinno nigdy brakować wody do picia. Po 10—14 dniach takiego żywienia kury są gotowe do sprzedaży.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. – Druk A. Rippera, Kraków.

DODATEK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY

DO NR. 4 „PRZODOWNICY“ ZA KWIECIEŃ 1908 ROKU.

KLUCZ DO SERCA.

(Ciąg dalszy).

— Jeśli dziecko będzie nas kochać szczerze i gorąco i prawdziwie, to będzie się starało tak postępować, ażeby nas nie zmartwić ani nie zasmucić.

Lecz o to właśnie idzie, ażeby dziecko nas kochało.

Krzykiem, biciem, przeklinaniem i karami, wyrabia się u dziecka bojaźń nie miłość i bardzo wiele rodziców myli się sądząc, iż wychowują dobrze dzieci, gdy dzieci ich się boją.

— Bez bojaźni niczego się dziecko nie nauczyło. Józefowa znowu mi tłumaczy i kobiety potakują kiwając głowami.

Więc jak mogę chcę im wytłumaczyć, iż bojaźń nie jest dobrą pomocnicą w wychowaniu dzieci.

— Jeśli wy chcecie psa nauczyć, ażeby wam do izby nie właził i szkody nie robił, to uderzycie go raz, drugi i trzeci, a psina bać się będzie pręta i szkody robić nie będzie. Jeśli wy chcecie oduczyć krowę, ażeby nie lazła w koniczynę, lub nie wchodziła na obejście sąsiada, to ją uderzycie parę razy i ona potem przechodząc obok wrót sąsiada, ucieka, bo boi się, ażeby znów bicia nie dostała. Takie postępowanie jest dobre wobec zwierząt, ale nie może być zastosowane wobec dzieci, bo dziecko ma ducha, myśl, serce i rozum, i tych jego skarbów nie można bezlitośnie niszczyć i łamać. Bicie nie dlatego tylko jest szkodliwe, iż może sprowadzić kalectwo, może uszkodzić ciało, (co się nie rzadko trafia), ale bicie dlatego jest krzywdą i złem wielkiem, iż ono psuje duszę dziecka.

— Dziecko tego nie rozumie, nieśmiało odzywa się jedna z kobiet.

— Tem większą krzywdę mu wyrządzamy, iż psujemy mu charakter, gdy ono ani się obronić, ani uchronić nie może. Bydle bite skuli się, spuści łeb i cierpi. A dziecko uderzone zacina się w bólu i gniewie, a myśli nad tem, jaką drogą od bicia się uchronić. Bojąc się rodziców — spełnia tylko to, co musi, a po za ich oczami robi co chce i w ten sposób zaczyna się kłamstwo życia, gdy dziecko raz, drugi i dziesiąty spróbowało wywinąć się od kary za pomocą kłamstwa — już życie tej jednostki może pójść najgorszym szlakiem, już człowiek ten może się stać zdolnym do najnikczemniejszych czynów i zbrodni. Kto kłamie — ten ginie moralnie. Cóż z tego, że człowiek ów żyje, je, pije, pracuje, zarabia, kiedy nikt mu ufać i wierzyć nie może, czyli on dotrzyma, co przyrzekł, czyli on sprawiedliwą i czystą szedł drogą, czyli on istotnie jest takim, jakim się przedstawia. Narzekają ludzie i żalą się zawsze, iż źle dlatego na świecie, bo prawdy w nim niema, a nie wiedzą, iż sami sieją kłamstwo tem, iż dzieci biją i wychowują w lęku, a nie w miłości i zgodzie.

Mówię i mówię, aż tu nagle śmiechem parsknęły kobiety i zaczęły sobie fartuchami usta zasłaniać.

Myślę tedy: — Znudziło się biedaczkom i już nie słuchają o czem prawię.

A tu nagle słyszę ktoś chrapie.

To poczciwa Maryanna zasnęła sobie smacznie pod ścianą, więc z niej śmieją się kobieciny, a nie ze mnie.

— Kiedyś jeszcze o „kluczu do serca“ pogadamy, rzeknę tedy, bo na dziś już dość. Deszcz pada, spać się chce, już się wam może znudziło.

— Nie! o nie!... proszę niech pani jeszcze mówią, ta i owa widać ciekawa, chce słuchać; alem i ja zmęczona i kobietom czas do izb wracać. Więc pożegnałyśmy się grzecznie.

W dwa dni, znowu między chatami krzyki i płacze.

Maciek od wójtowej przyszedł z książką pod gruszę. Dzieci zbiegły się gromadą, wszystko ciśnie się i garnie, ażeby obaczyć obrazki.

— Pokaż mnie! Pokaż mnie!...

Zapatrzone, zasłuchane w czytanie, zapomniały o gąsiętach i cielętach. Krzyku, wrzasku, aż się lasy echem odzywają, bo ta gniewa się, iż gęsi w grochu, tamta pędzi jałówkę i bije bez litości, a Józefowa znów z prętem do dzieci:

— Ja wam tu dam! Ja was nauczę!...

Na nieszczęście uderzyła tak silnie, iż Kazi Zającównej trysła krew z wargi. Dziecko z płaczem do matki, sąsiadki zbiegły się, ta rzeknie słowo, tamta dziesięć, ta powie coś ostro, tamta jeszcze lepiej palnie słowem, dość, iż pół wsi zmienia się w prawdziwe piekło.

Ogromnie mię to zasmuciło.

Przekonałam się, iż wszystkie moje tłumaczenia i rady poszły na marne. Nie łatwo to oduczyć od przyzwyczajeń.

Ażeby usunąć się od krzyków, idę ścieżką pod las. Milej niejeden raz człowiekowi wśród drzew i traw jak wśród ludzi. Bo jeśli obaczę, iż to drzewo krzywo wyrosło, a tamto złamane jest, to mi żal rośliny, iż nie zaznała szczęścia jak inne, ale gdy wśród ludzi widzę, iż jeden kłamie, drugi kradnie, jeden się gniewa bezustannie, drugi na złość robi, to wtedy żal mię zbiera na myśl, dlaczego ludzie ludziom nie są braćmi, lecz wrogami, dlaczego ludzie ludziom swojemi wadami tyle sprawiają przykrości?...

Idę zieloną miedzą, między owsy, a za mną jeszcze leci echo krzyków rozgniewanych kobiet.

Dogania mię starsza córka Maryanny.

— Wszystko przez tę książkę, wszystko przez Maćka wójtowej, mówi zdyszana. Byłyby dzieci pilnowały pastwiska, a teraz kłopotu i gniewu o joj!... na sto kilo by zważył!...

— Czy książka winna?...

— Książka tam nie winna, ale dzieci.

— Nie dzieci winne, ale kobiety.

— Jakto nie dzieci?... poszły do książki, a gęsi zostały bez opieki.

— Ale ta wina dzieci jest o wiele mniejszą od winy kobiet, które za ostro karały. Za cóż tyle bicia, gniewu i krzyku?... Właśnie to jest największą wadą rodziców, gdy w gniewie karzą dzieci, bo niejeden raz kara jest za ostra w stosunku do winy.

Maryanny córka, to wcale mądra kobiecina. Młodą jest matką i stara się cokolwiek roztropniej z dzieckiem postępować.

Dlatego szczerze z nią rozmawiam, bo wiem, iż ona łatwiej zrozumie, na co należy zwracać uwagę w wychowaniu.

— O! bardzo, bardzo słusznie to pani powiada, pamiętam i ja, jak wiele razy bolało mię to, gdy za ostro karali i bili mię rodzice. Ale teraz, dziś, sama nie wiem jak trzeba było postąpić.

— Widzisz moja młoda matusiu, przy wymierzaniu kary zawsze musi się zwrócić uwagę na okoliczności. Nawet w sądzie, przy najcięższych zbrodniach i winach zanim ukarzą człowieka, badają i rozważają czyli on chciał zrobić źle, czyli on wiedział, że ten lub tamten czyn wywoła takie skutki. A my bardzo często ukarzemy dziecko nie wysłuchawszy jego usprawiedliwienia się. Czasem biedactwo takie, w najlepszej chęci zabierze się do jakiejś roboty, a w zamian za to

otrzyma bicie i nasłucha się krzyku. Jeśli dzieci do książki się zbiegły i zostawiły gęsi bez dozoru, to wina ich nie była bardzo wielka. wszak nie uczyniły nic zdrożnego. Jeżeli za chęć czytania karzą biciem, to jakże ukarzą za złodziejstwo, za kłamstwo?... Rozchodziło się kobietom o szkodę w koniczynie i w grochu. O tę szkodę kilkudziesięciu ziarnek grochu i parę snopów koniczyny, czyż warto czynić tyle szkody w sercach młodych i tak gniewem kaleczyć młode dusze?...

— Taki już zwyczaj u nas i już tak zostanie.

— Niech Bóg broni, ażeby tak zostało!... wy młode kobiety, które już wiele uczyłyście się w szkole i teraz z gazet i książek dalej naukę czerpiecie, wy powinneście nad tem pracować, ażeby dla dzieci mieć więcej miłości i wyrozumiałości, a mniej krzyku i gniewu.

Pożegnała mię Maryanny córka i skręciła na lewo do młyna, ja w cieniu drzew starego lasu usiadłam zadumana.

Nie wesołe były me myśli.

Zdawało mi się, iż od wsi i chat ciągle jeszcze dolata echo krzyku i gniewu. Zdawało mi się, iż widzę nad czołem każdego dziecka rozpięte czarne skrzydła jakiegoś ptaka, który od świtu do nocy dziecko bije, męczy i kaleczy, ażeby ani chwili wesela nie zaznało, ani radością nie poiło swego życia.

Dzieci wszakże powinny być zawsze wesołe i szczęśliwe, bo któż w życiu wesele i szczęście odnajdzie, jeśli nie dziecko?

Jest jedna piosenka ludowa, która powiada:

Oj, jest ci tam pono w niebie
Krzesło szczerozłote
Dla macochy, co kochała
Na świecie sierotę,
Ale gęsta pajęczyna
Na to krzesło padła...
Bo tam pono jeszcze żadna
Macocha nie siadła!...

Piosenka żali się, iż jeszcze żadna macocha nie siadła na krzesło szczerozłote, lecz kto wie, czy i wieleby matek na takie krzesło siadało, gdyby one były przeznaczone dla tych, które nigdy dzieci swoich nie biły!! Zdaje się matkom, iż czem więcej dzieci kochają, tem częściej je bić powinne, bo pragną, ażeby doczekać się z córek i synów pociechy prawdziwej.

Dumam i patrzę w głąb lasu...

Mrówki idą długim łańcuchem, znoszą suche szpilki jodłowe. One także mają swoje dzieci... ale ich nie męczą.

Przebiegła sarna, a za nią młodych dwoje w wesołych podskokach. Sarniątka te szczęśliwsze od dzieci z chat...

Na gałęzi drzew usiadła ptaszyna i karmi pisklęta... Jakiż to obraz miłości i opieki!...

Słońce zachodzi za wieniec lip otaczających kościół i dzwonek wieczorny na Anioł Pański wzywa...

Chłodna rosa rozściela swe perły po murawie, a ja wracam do wsi cicha i strapiona...

Zdaje mi się, że widzę ciągle nad głowami dzieci czarne skrzydła gniewu i złości.

Gawędząc nie jeden raz z sąsiadkami o owym „k l u c z u d o s e r c a“, którym nie umieją się posługiwać, daje im rozmaite przykłady, ażeby łatwiej zrozumiały. iż bicie nie zawsze jest najlepszą karą.

— Przyzwyczaicie dziecko małe do tego, iż bez bicia nie posłucha, więc już potem ciągle, raz po razu pięścią po plecach... Ale przychodzi czas, chłopak staje się mocniejszy i wasze bicie go nie boli, ani nie smuci. Wy bijecie, a on się śmieje i kpi z was, co wtedy zrobicie?...

— A co moja pani, niejedna matka zalewa się łzami, bo rady dać nie może, a chłopaczysko robi co chce.

— Widzicie więc z tego najlepiej, iż bicie nie jest pomocą do dobrego wychowania, bo dobra pomoc trwa do końca, już syn pod wąsem, a jeszcze matkę słucha jak należy, wtedy, kiedy się matki nie boi, ale ją kocha i szanuje jako dobrodziejkę i opiekunkę najlepszą w świecie. Ażeby dziecko matkę kochało, trzeba serce jego wyrabiać i wyszla-

chetniać w ten sposób, iżby serce to pragnęło dobra i rwało się ku jasności życia.

Pomocą ogromną, wielką pomocą jest pochwała i nagroda. Nie można dziecka tylko wiecznie i zawsze karać — trzeba go czasem pochwalić, czasem nagrodzić czy to dobrem słowem lub pieszczotą, czy cukierkiem lub książeczką, a wtedy radość budzi się złotolica w duszy dziecka i pragnienie się zrywa, ażeby być i drugi i trzeci i dziesiąty raz lepszym i zasłużyć na pochwałę u rodziców, sąsiadów, w szkole i u ludzi i u Boga.

Powiadają, iż po świecie chodzą dwie rodzone siostry: — Łagodność i surowość! Jedna cicho, słodko, jak piosenka nucona działa, a druga z fukiem, krzykiem i gniewem jak burza z piorunami, wszystko psuje. Mało kto, mało kto z ludzi umie żyć z łagodnością, a wielu, ogromnie wielu, surowością się posługuje i dlatego jeszcze życie zawsze ma więcej cierni jak kwiatów i więcej łez jak uśmiechów.

Był raz, bardzo dawno, mędrzec grecki, nazywał się Sokrates. Wychowywał on i uczył młodzieńców greckich i ojcowie oddawali do jego szkoły swoich synów. Pewnego razu przyprowadził ów Sokrates młodzieńca oddanego sobie na naukę, przyprowadził napowrót do ojca i rzekł:

— Ja go niczego nie nauczę, bo on mnie nie kocha!...

Tak i wy matki nie jeden raz żalicie się i smucicie, iż nie możecie dzieci nauczyć i posłuszeństwa i pracowitości i ustrzedz ich od kłamstwa, a nie możecie nauczyć dlatego, bo nie macie klucza do serca — dobrocią nie działacie, nie umiecie wyrobić u dzieci miłości dla was.

— Ależ proszę pani, bez kary się żadne dziecko nie uchowa, musi się go poskromić nie jeden raz i nie jeden raz ukarać. A czy u państwa, a czy w szkołach dzieci nie karzą?..,

— Naturalnie, iż kary są używane, bo one pomagają w wychowywaniu, ale z niemi trzeba tak ostrożnie jak z lekarstwami w chorobie. Lekarstwo pomoże, lecz nie można go za wiele używać. Ukarzcie dziecko raz, drugi i dziesiąty, będzie się strzegło winy, ale nie dlatego że kara dokucza, lecz dlatego, iż nie chce czynić zmartwienia rodzicom. Dziecko bite obojętnieje na wszystko. Robi się chmurne, gniewliwe, i myśli tylko o tem, aby jak najdalej z chaty uciec i swobodnie bawić się tam, gdzie matka z kijem nad nią nie będzie stała.

Maryanny córka, więc jak najciekawsza pyta:

— A czemże dziecko karać, gdy zawini?

— Wiecie moje gosposie co najlepszą pomocą jest w zadawaniu kary?... Oto praca!... Nie jedna matka zgniewa się i woła: — idź sobie precz z chaty, niechaj ciebie moje oczy nie widzą! Chłopczyna kątem wyrywa się i goni w las lub na błonia, a to, co ma być niby karą, jest dla niego największą radością. Inna matka znów zamknie dziecko w komorze lub w stodole i uważa, iż go dobrze ukarała. A chłopiec urwisz, czy dziewczyna leń wyśpi się i przepróżnuje czasu nie mało.

Dzieci karać należy w ten sposób: — Za nieposłuszeństwo nie pójdziesz do ogrodu lub w pole, będziesz w izbie i musisz to a to zrobić. Czy uszyć jaką rzecz lub uprząść parę pasem, jeśli kara dla dziewczyny, czy obierać groch lub krajać sieczkę, jeśli kara dla chłopca.

Gdy dziecko za małe i pracować jeszcze nie może, a musi być ukarane, to można go postawić w kąciku, odwrócić do ściany, ażeby nie mogło widzieć, co inni robią, to sprawia dzieciom wiele smutku i strzegą się, ażeby karane nie były. Jeśli wina jest większa, można dzieci ukarać, nie dać im obiadu lub wieczerzy, jeśli dziecko starsze, przykra mu kara, gdy matka nie pozwoli ubrać w niedzielę strojnego ubrania. Wszystkie te i inne sposoby karania zawsze lepiej działają, aniżeli bicie, a nie psują charakteru i nie budzą złości.

Niema smutniejszego widoku nad dzieci

zahukane, zakrzyczane, zatłumione... czy nie prawda?... Czy nie przyznacie, iż dzieci takie są podobne do tych drzewin przy drodze, które źli ludzie łamali, wichry pochylały, burze im gałęzie zrywały, aż nie wyrosły smukłe i zgrabne drzewiny, lecz pogięte, karłowate krzaki...

— U nas we wsi jest takich dzieci kilkoro...

— A w Pobrzeziu za lasem jest czworo garbatych tylko z bicia.

— Biedne! nieszczęśliwe dzieci!...

Westchnęła niejedna z kobiet...

(Dokończenie nastąpi).

Jakie są przeważnie przyczyny zwykłych chorób ludu wiejskiego

(Ciąg dalszy).

Prócz chleba używają włościanie jeszcze innych potraw mącznych, które należycie sporządzone są bardzo dobrem pożywieniem, zwłaszcza potrawy sporządzone z ciasta, które odbyły fermentacyę, tj. z ciasta kwaszonego. Fermentacya nadaje ściślejszy związek cząstkom składowym mąki i usposabia je do do łatwiejszego rozpuszczenia się w sokach trawienia. Pokarmy zaś robione z ciasta nie kwaszonego, robione na mleku lub wodzie, pieczone lub smażone na maśle lub słoninie, zawsze są trudniejsze do strawienia, szczególnie twarde kluski krajane lub tarte, na które to nie jedna gospodyni się sadzi, aby jak najtwardsze upatrując w tem wielką zaletę.

Jeszcze jedno, o którym włościanie często zapominają jest użycie gorącego ciasta szczególniej, jeżeli się je wodą popija. Nadmierne użycie potraw mącznych zwłaszcza przy małym ruchu np. zimową porą, jest bardzo szkodliwem, dlatego dobrze jest jedząc potrawy mączne, uważać aby je przeplatać potrawami roślinnemi.

Mięsa wprawdzie mało używają włościanie, lecz używają je niekiedy z konieczności np. dorznie się krowę, wieprza lub coś z drobiu, niezbadawszy dokładnie na jaką ono chorobę zasłabło i wskutek tego zapadają potem na ciężkie nieraz bardzo ciężkie choroby. Mięso takie można niekiedy użyć, ale dla pewności trzeba je na parę tygodni nasolić, potem dobrze uwędzić i jeszcze dobrze jest nie używać na surowo ale dobrze wygotować. Można również nie wędząc przechować mięso także w occie. Niekiedy bydlęta pomimo, że nie leżą, to jednak są chore, a mięso ich spożyte przez ludzi, powoduje rozmaite choroby. Dlatego to też często się zdarza, że gdy zaraza jaka panuje między chudobą, to i ludzie więcej chorują, pochodzi to ztąd, że niekiedy zabija się tę lub ową sztukę z przezorności po prostu mówiąc, ma mi paść na zarazę, to wolę ją zabić, nie myśląc o tem, że ona może już chora, dzieje się to niestety bardzo często.

Nie mniej szkodliwe są przemarznięte kiełbasy, które to na jarmarkach kupić można. Kiełbasa przemarznięta a zwłaszcza mało wędzona, lub też wędzona w gorącym dymie, która już w czasie wędzenia kiśnie a jeszcze i przemarznie, podlega po odtajaniu rozkładowi, mięso traci naturalny wygląd a staje się jakby trociny, wygląda ona tak jakby ją robak stoczył, takie kiełbesy są nadzwyczaj nie zdrowe i dlatego trzeba się wystrzegać, kupować kiełbasy po silnych mrozach zwłaszcza u przekupniów na rynkach i placach, gdzie towar cały dzień wystawiony na mróz a przez noc w ciepłej izbie. Tak samo i w gorące lata trzeba się wystrzegać zepsutego mięsa.

Bardzo wielki wpływ na stan zdrowia mają też naczynia kuchenne, które są po większej części z drzewa, gliny, żelaza lub miedzi. Naczynia z drzewa powinny być robione z drzewa twardego, jeżeli są sosnowe, trzeba uważać, aby nie były robione z drzewa miękkiego tak zwanego bielu, gdyż biel silnie wodę naciąga, a potem bardzo prędko gnije, grzybkami się pokrywa i wodę czyni nieczy-

stą. Naczynia gliniane polewają garncarze różnymi melolicznemi ciałami. W wypalaniu roztapiają się takowe ciałka i pociągają powierzchnię naczyń szklistą powłoką, powłoka ta jest dla zdrowia szkodliwą, a im garnek mniej jest wypalony tem powłoka ta jest szkodliwszą. Masło, ser, rzeczy kwaśne, słone i tłuste, trzymane w naczyniach źle polewanych, roztwarzają polewę i stają się szkodliwymi dla zdrowia. To samo można powiedzieć o garnkach starych, mających polewę rozpuszczoną i popękaną. Nie można jednak zaprzeczyć, że dobre gliniane garnki lepsze są od blaszanych i cynkowych łyżek, talerzy i misek jakie niektórzy używają. W takich naczyniach nie można nic długo zostawić ani przechować, a po użyciu trzeba je zaraz dobrze obmyć i wysuszyć. Naczynia żelazne są nie drogie i mniej szkodliwe, uważać jednak trzeba, aby w nich nie przetrzymywać rzeczy tłustych lub kwaśnych, zwłaszcza jeżeli polewy nie mają. Tłuszcz pozostawiony w takich naczyniach, koloruje się na piękną zieloną barwę tak zwany gryuszpan. Najniebezpieczniejsze są naczynia miedziane, pomimo, że polewanie naczyń miedzianych zmniejsza niebezpieczeństwo otrucia, nie zabezpiecza jednak od niego. Częste szorowanie i czyszczenie naczyń miedzianych i długie ich użycie, zwłaszcza naczyń nie pełnych i na silnym ogniu rozrzadza i ścieśnia polewę lub spędza ją zupełnie.

Najwięcej należy wystrzegać się przechowywać w naczyniach miedzianych rzeczy słonych, tłustych i kwaśnych, które stąd nabyły właściwości trujących. Prócz naczyń mamy w kuchni jeszcze inne niebezpieczne i mniej lub więcej szkodliwe rzeczy, jak kawę, zawierającą w sobie kofeinę, która to o smaku i dobroci kawy stanowi. Ona przez wpływ swój na nerwy trucizną się staje i jak doświadczenia na zwierzętach czynione dowiodły, że śmierć spowodować może. Kawa zaś średnio mocna, zwłaszcza z mlekiem lub śmietanką zabielona, jest ożywiającym nieszkodliwym a nawet podniecającym napojem. Herbata zawiera ten sam pierwiastek co i kawa i dla tego stała się tak ulubionym i rozpowszechnionym napojem, tu jednak jeszcze więcej uważać trzeba, gdyż herbata podlega fałszowaniu, farbowaniu, co prawda to i kawę farbują, najwięcej też trzeba się wystrzegać kupować kawę mieloną, gdyż ta nie tylko, że nic nie warta, bo zwietrzała, ale najwięcej ma przymieszek niewłaściwych. Mówiąc o kawie nie można pominąć dodatku zwanego cykoryą. Ten surogat kawy nic w smaku jej nie podnosi, a psuje go raczej, nadaje on kawie ze śmietanką piękny żółtawy kolor i moc gorzkawą przez niektórych lubianą. To właśnie gorzkie i ostre ciało zawarte w korzeniu cykoryi, które ową moc kawie nadaje, jest głównie szkodliwem i cykorya w mocnym wyciągu w większej ilości użyta sprawia zaburzenia w żołądku. Kto więcej kawy używa może sobie sam w domu cykoryę przysposobić, a będzie mniej szkodliwą.

Na pietruszkę trzeba też bardzo uważać, aby zamiast pietruszki nie użyć tak zwanej „bzduchy“ czyli psiej pietruszki. Silnie kiełkujące ziemniaki są również trujące, w których podówczas solomina się wytwarza, wogóle wszystkie jarzyny w czasie kiedy już wyrastać poczynają np. kapusta kiedy w zimie w piwnicy wyrasta i dostaje około głąbia między listkami małe główeczki, które gotowane w smaku są gorzkie, gorycz ta właśnie jest szkodliwą.

Wieśniacy zwykli jadać powoli i każdy kąsek dobrze żuć, co niezmiernie ułatwia trawienie grubych potraw, a tem samem przyczynia się wiele do ich zdrowia, tem więcej, że według pory roku używają odmiennych pokarmów. Letnie pożywienie wieśniaka stanowią przeważnie pokarmy roślnne, świeże zieleniny, mleko, maślanka, serwatka, owoce, ochładzające mu krew. Zaś pokarm zimowy stanowią więcej rzeczy twarde i cięźej strawne, nieszkodzące im jednak, jeżeli tylko mają dosyć ruchu na wolnem powietrzu, jeżeli zaś przebywają więcej w izbie i nie oddają się wiele pracy, jak to ma

miejsce u osób starszych, natenczas sprawia im często choroby, jak zaflegmienia a skutkiem tego kaszel, zatkania i inne przypadłości. Niektóre potrawy już same z siebie są szkodliwe, np. młode zboże, zboże zrośnięte, zboże nieczyste. Jeżeli zboże zostało zrośnięte, następnie stało na deszczu, zamokło i zrosło się, natenczas mąka z niego jest gruba, ciemna i jest jej znacznie mniej, niż ze zboża dobrego. Już ciasto z takiej mąki jest wolne w wyrabianiu, w piecu rozlewa się, a chleb taki, jeżeli nie cały, to przynajmniej część jego jest zakalcowata. Chleb taki jest bardzo niezdrowy, wprawdzie silnym osobom nie szkodzi on zaraz, ale z czasem sprawia odęcie żołądka, rznięcie, zatwardzenie, kolkę i t. p. przypadłości. Mając takie zboże, trzeba je przed posłaniem do młyna dobrze wysuszyć, a jeżeli można domieszać połowę suchego zeszłorocznego zboża. Przed zaczynieniem chleba trzeba również mąkę trochę przysuszyć, stawiając ją dzień przedtem w bliskości pieca, drożdży czy naciasty trzeba użyć więcej, niż zwykle się używa, lub też do zwykłej ilości kwasu dodać trochę sody, wody zaś przy zarabianiu ciasta wziąć znacznie mniej, aby ciasto było tęgie, ono już potem wyrośnie. Dobrze jest także chleb taki nie wyrabiać w bochenki jak zwykle i układać na stolnicy do wyrośnięcia, lecz gdy ciasto wyrosło już tak dalece, że można z niego chleb wyrabiać, natenczas brać ciasto z dzieżki do miski, a z miski prosto na łopatę, cokolwiek uformować, obmyć wodą z kminkiem i do pieca: piec musi być dobrze napalony, zatkać szczelnie, a po kwadransie zobaczyć, co się z chlebem dzieje. W ten sposób chleb upieczony będzie pewnie pulchny i dobry, trzeba tylko jeszcze uważać na to, aby bochenki były mniejsze od zwykłych garncowych; najlepiej robić chleby ½-garncowe. Jeżeliby chleb pomimo to był ciężki, to zostawić go dwa lub trzy dni, aby zczerstwiał. Jeżeliby zboże było bardzo zrośnięte lub niedojrzałe zebrane, a trudno je sprzedać do gorzelń, natenczas sprawa z niem gorsza, można je jednak użytkować, trzeba tylko zachować wszystkie te same, wyżej wymienione ostrożności, a prócz tego na każde 4–6 garncy mąki zawiązuje się garść czystego przesianego popiołu drzewnego w czystą szmatkę, kładzie się w gorącą wodę, przeznaczoną do chleba i stawia się na gorącym piecu, a gdy się już woda dobrze zagrzeje, wyjmuje się węzełek z popiołem, do rozczyny dolewa się kieliszek wódki, dodaje się kawałek cukru lub trochę miodu. Dobrze również jest do zrośniętego zboża dodać połowę tartych ziemniaków, surowych lub gotowanych.

Zboże opadłe rosą miodową jest również niezdrowe; trzeba je dobrze na słońcu wysuszyć, rozściełając je cienko. Nie mniej szkodliwe jest zboże opadłe przez sporysz, mające ziarnka czarne; po spożyciu takiego chleba doznaje się bólu rąk i nóg, często bólu w całem ciele, żołądek jest rozdęty, jakby pełny, człowiek ma uczucie jakby był najedzony, czuje ciężkość głowy, słabnie na umyśle itp.

List drugi „O godności pracy“.

Gdybyśmy idąc dalej w porównaniu, jak otoczenie, oraz sposób pracy oddziaływa na człowieka, głębiej weszli w duszę wieśniaka i mieszczanina, to spostrzeglibyśmy, że są one, jak gdyby innego kształtu.

Wieśniak ma duszę szeroką i prostą; w jego pracy, w jego gniewie jest spokojny lub gwałtowny rozmach. To drzewo nawykłe do przestrzeni i powietrza, któremu ciasno byłoby w izbie. Natomiast drzewem w izbie hodowanem jest dusza mieszczanina, przystosowana wzrostem do wielkości izby, to jest do swobody zajęcia, do swobody życia. Tu przyciasno, tam za krótko, więc się wygina i skręca. W duszy tej jest więcej niepokoju, jak rozmachu, więcej dziwactwa, jak prostoty.

Teraz wniknijmy w duszę człowieka, który całe życie pracuje umysłowo. Jego myśli wypełniają nietylko obrazy rzeczy zewnętrznych, z których tworzy i kształtuje dalej wyobrażnie własne, lecz również myśli i pojęcia ludzi innych — nietylko to, czego on swemi rękami w pracy dotyka, co sam własnemi oczami spostrzega, ale także to, co inni widzieli i przeżyli. Dusza takiego człowieka odrywa się niejako od ziemi, leci w górę i z wysoka na nią patrzy. Sięga w około wzrokiem znacznie dalej i widzi mnóstwo rzeczy, których nie dojrzał pracownik wieśniak, lub mieszczanin rękodzielnik.

Jeżeli ci trzej ludzie mówią, to spostrzeżemy, że ludzie pracujący ręcznie, używają wyrażeń prostych, odrazu rzecz malujących w jej zarysach, z gruba ociosanych, zaś człowiek wyćwiczony myślami, w danym przedmiocie. dostrzega wiele szczegółów, które pod oczy nie podpadadają. Np. wieśniaczka lub mieszczanka oddana pracy ręcznej i przyzwyczajona zważać na cechy zewnętrzne rzeczy, patrząc na swe dziecię, widzi przedewszystkiem jego urodę, jego ciałko, cieszy się niem lub smuci z chwili na chwilę, nie przewidując przyszłości, nie wychowując dziecka dla tej przyszłości. Matka wykształcona wie, czem dla dziecka jest czystość, powietrze, ćwiczenia ciała, nauka, dobre przyzwyczajenia; wie jakie są różne trudności w wychowaniu i widzi przyszłość dziecka, zależną nietylko od zewnętrznych okoliczności życia, ale przedewszystkiem od rozwoju duszy dziecka. To też patrząc na dziecię, obejmuje myślą przyszłość jego i pracę swoją, którą ma dziecięciu dopomódz, by się rozwinęło zdrowo fizycznie i moralnie.

Weźmy inny przykład. Człowiek pracujący umysłowo, słowem „Ojczyzna“ obejmuje świadomie całą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość swego narodu, pracę dokonaną przez wojny, przez ustanowienie praw, handel i przemysł, naukę i sztukę. Obejmuje zarazem położenie dzisiejsze i pracę, której dokonać musimy, aby uzyskać przyszłość upragnioną.

Dla wieśniaka i rękodzielnika słowo „Ojczyzna“ zamknie się w najlepszym razie w równie silnem uczuciu miłości i pragnieniu zdobycia niepodległości, ale nie nasunie jego myśli, ani tyle obrazów z przeszłości, ani porównania z innymi narodami, ani tyle szczegółów z chwili obecnej.

Wieśniak i rękodzielnik nieuświadomiony — a takich mamy jeszcze ogromnie wielu — aby zrozumieć słowo „Ojczyzna“, musi je oprzeć na wyrazie „ojcowizna“, bo to, co ten wyraz przedstawia, podpada pod jego zmysły. Ten grunt, tę chatę, ten warsztat, czy sklep, odziedziczony po ojcach, on to widzi, z tem się zrósł, tego się dotyka, to jest jego.

Weźmy teraz pod uwagę słowo „Naród“. Zdarza się często, że ktoś, określając tłum ludu wiejskiego, czy miejskiego, mówi: „było dużo narodu“: — w przeciwstawieniu do inteligencyi, o której powiada: „było dużo państwa“. Powiedzenie to jest błędne, bo Naród, to my wszyscy; ale po pierwsze świadczy o prawdzie tego, że dla człowieka zajętego pracą ręczną istnieją przedewszystkiem cechy zewnętrzne — „państwo“ zatem, nie mieści się w jego pojęciu Narodu, bo ono ma już pozór inny — a powtóre, że rodzaj pracy dzieli ludzi na warstwy. Bywa chłop majętny i tak zwany inteligent majętny, a jednak majątek ich nie łączy, a sposób myślenia wynikły z ich zajęcia, ze sposobu pracy, dzieli ich. Dzieli ich dopóty, dopóki chłop i inteligent nie zejdą się w sposobie myślenia i nie staną na jednym punkcie widzenia rzeczy zasadniczych, rzeczy, które są podstawą życia — o czem w liście następnym.

W. T.